

Cena 25 zł. – Str. 12

KUŹNICA

Rok V

Łódź, 8 maja 1949 r.

Nr 18 (191)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI



W bibliotece gminnej

PAWEŁ HERTZ

ROZWAŻANIA O KSIĄŻCE

WYDAJE mi się, że w okresie historycznym, w którym dawna warstwa oświecona traci hegemonię jako klasa i gdy władzę obejmują klasy społeczne, które przez setki lat pozostawały niemal całkowicie poza obrębem działania kultury, rzeczą dużej wagi jest przyswojenie przez te nowe klasy panujące całego dorobku przeszłości, należyta ocena dawnych treści ideologicznych i artystycznych, pilne zbadanie, czy w tej przeszłości kulturalnej nie znajduje się niejako, co może się przydać w budowaniu kultury ludzkiej opartej na nowych podstawach ekonomicznych i społecznych. Wierny tej myśli, gotów jestem nawet posunąć się dalej i powiedzieć, że w moim głębokim przekonaniu okresy w których łamią się dawne formy zależności między ludźmi, a na ich miejsce kładzie się fundamenty form nowych, wymagają nie mniej pilnego zwracania uwagi na konsumpcję dóbr kulturalnych niż na ich tworzenie. Rzecz oczywista, że nowe klasy społeczne, które obejmują pełny zarządek nad gospodarką według nowych zasad ustalają stosunki między ludźmi, są w dziedzinie swoich potrzeb kulturalnych obciążone przez szkodliwe nawyki, odziedziczone w spadku po minionym okresie historycznym. Nowe ustawy prawne regulują nową moralność, nowy ustroj ekonomiczny określa skalę i poziom życia, wyziedzicza elementy pasożytnicze, wzmacnia gospodarcze siły młodych klas. Oczywiście — kultura jest funkcją rozmaitych ludzkich działalności, jest więc w tej mierze funkcją nowych stosunków prawnych, nowotworzącego się kodeksu etycznego, nowopowstałego układu ekonomicznego etc. Ale między innymi jest ta nowopowstała kultura funkcją tradycji kulturalnych przeszłości. Wiadomo skąd inąd bardzo dobrze, że to raczej awan-

garda uświadomionego proletariatu czerpała te tradycje z czystych źródeł postępowej myśli europejskiej, narodowej literatury klasycznej, współczesnej literatury walczącej. Jednakże i to nie może być traktowane jako reguła. Znam wielu ludzi o jasnym i przenikliwym umyśle, którzy np. w sprawach literatury wykazują gustu nieodpowiadające poziomowi ich świadomości.

Więś — której dobrze nie znam — zapewne też nie może być uważana za teren wolny od wpływu złych tradycji kultury drobnomieszczańskiej. Nielepiej przed-

stawia się sytuacja wśród inteligencji. Tutaj — co w związku z klasową przynależnością większości inteligentów jest rzeczą zrozumiałą — tradycje kultury drobnomieszczańskiej zlekka tylko pokryte warstwą obowiązującego dawniej programu gimnazjalnego, święcą triumf. Znam wielu lekarzy, inżynierów, ludzi w swoim zawodzie znakomych, którzy w sprawach kultury są ciemni jak tabaka w rogu, gdy zaś pozostawiać im wybór książek, muzyki, teatru czy filmu dokonają go zgodnie z dekalogiem kultury drobnomieszczańskiej.

Gdy nowy układ stosunków ekonomicznych i politycznych wskazuje wyraźnie kierunek naszego rozwoju, staje się rzeczą niewątpliwą, że upośledzone dotychczas klasy społeczne — proletariats, średniorolne chłopstwo, biedota wiejska, inteligencja pracująca, która opowiedziała się za zmianą ustroju stanie się zarówno twórcą, jak i konsumentem wszystkich dóbr kulturalnych. Po to, by nowe dobra kulturalne mogły być tworzone, należy przyszłym twórcom pokazać pełny dorobek ludzkiej myśli i kultury, jaki przejmujemy po minionych okresach historycznych. Moim zdaniem — należy pokazać cały ten dorobek, wyjaśniając, co w nim było dobre, a co złe, co przyspieszało, a co opóźniało doskonalenie się człowieka w człowieku, co sprzyjało, a co znów było wrogiem dziełu rewolucji społecznej bez której to doskonalenie się człowieka w człowieku jest tylko frazesem.

Wynika więc z tego, co napisałem, że doniosłym zadaniem jest możliwie jak najszybsze objęcie jak najszerszej grupy ludności — zwłaszcza na wsi, stamtąd bowiem rekrutują się już dzisiaj zarówno robotnicy w fabrykach jak i uczniowie w szkołach — siecią rozprzodającą dobra kulturalne najwyższej jakości. Nie dość — rzecz prosta — dostarczyć na wieś czy

Teologia, osobiście speculativa, od edukacji publicznej być odłączoną powinna. Bo sposób uczenia się teologii jest zupełnie przeciwny sposobowi dochodzenia i poznawania natury.

ks. Stanisław Staszko

TREŚĆ NUMERU:

- PAWEŁ HERTZ — ROZWAŻANIA O KSIĄŻCE
- LEON PASTERNAK — APOSTROFA
- RYSZARD MATUSZEWSKI — PISARZ WŚRÓD CZYTELNIKÓW
- PRASA SŁUŻY CZŁOWIEKOWI
- MIECZYSLAW JASTRUN — O MIEJSCE DLA POEZJI
- STEFAN BERGMAN — LITERATURA MARKSISTOWSKA W POLSCE
- ZYGMUNT RADEK — GALERY
- ILIA ERENBURG — POKÓJ ŚWIATU
- PIETRO NENNI — BRATERSKA DŁOŃ WYCIĄGNIĘTA DO WSZYSTKICH, KTÓRZY STARAJĄ SIĘ OBRONIĆ POKÓJ
- JOHN HOWARD LAWSON — ZIMNA WOJNA I FILM AMERYKAŃSKI
- CHARLES BAUDELAIRE — O KILKU KARYKATURZYSTACH FRAŃCUSKICH
- ALEKSANDER JACKIEWICZ — LISTY ROZSTRZELANYCH
- EUGENIUSZ SAWRYMOWICZ — W TEATRACH MOSKWY I LENINGRADU
- MAREK WIERCZYŃSKI — HAMLET Z JOWIAŁÓWKI
- PRZEGLĄD PRASY
- KORRESPONDENCJA
- NOTY



Okładka „Starej Baśni“ Sp. Wyd. „Czytelnik“

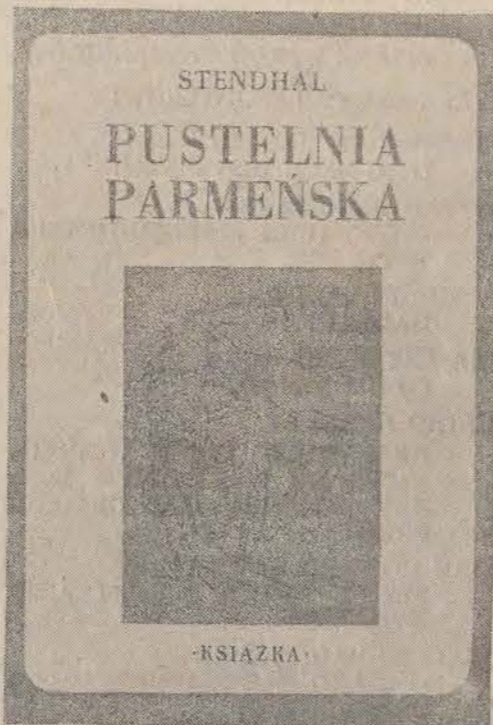
do fabryki książek lub reprodukcji — trzeba je jeszcze należycie objaśnić, przygotować do ich przeżycia i zrozumienia niewprawne umysły, nawykłe do wydawnictw jarmarcznych i do tandety drobnomieszczańskiej kultury w mieście.

Chcę pisać o książkach, a ściślej — chcę pisać o tym, czego dokonano, a czego jeszcze dokonać należy w dziedzinie wydawnictw książkowych w Polsce. Książkę bowiem i gestą sieć biblioteczną uważam za jeden z najważniejszych środków upowszechnienia kultury, za broń, z której pomocą można wyprzeć z umysłów ludzi złe tradycje kulturalne i przygotować ich nie tylko do przyjmowania tradycji dobrych, humanistycznych — lecz co wydaje mi się stokroć ważniejsze — do samodzielnego wyboru tych tradycji.

Zastanawiałem się niedawno, czy są słuszne tak na pozór przekonujące argumenty, które głoszą, że zmiana sytuacji na rynku wydawniczym może nastąpić jedynie w wyniku podniesienia się oświaty, zmniejszenia analfabetyzmu, etc. Otóż wydaje mi się, że ze swej strony także rozwój rynku wydawniczego jest niewątpliwie czynnikiem umożliwiającym wzrost kultury, zanik analfabetyzmu etc. Żeby nauczyć człowieka czytać, trzeba mu dać książkę. Żeby mu dać książkę, trzeba ją drukować masowo, po cenie dostępnej dla tego niepiśmiennego i nieumiejącego czytać człowieka. Jest to truizm, ale truizmy bywają nieraz rozsądniejsze od wielu skomplikowanych i wymyślnych zdań. Rozważajmy teraz sprawy pokolei. Pozostawiając na boku armię analfabetów dla których trzeba drukować odpowiednie książki, zastanówmy się czy w należytej ilości wydajemy dla czytelnika na pierwszym stopniu zainteresowania książką. Wydaje mi się, że dla tego czytelnika książek nie ma. Wydawnictwa KUK pomyślane są raczej dla bar-

dziej wyrobionego czytelnika, zresztą czyta je przeważnie miasto i młodzież szkolna.

Jak sądzę, dla czytelnika na pierwszym stopniu zainteresowania książką ważna jest nie tyle pojedyncza książka, co przede wszystkim biblioteka w której fachowy doradca wybierze mu odpowiednią lekturę, gdzie można się czegoś dowiedzieć, lepiej, dokładniej wyjaśnić sobie treść rzeczy przeczytanej. Toteż nie wystarczy, że zorganizujemy biblioteki, musimy z nich stworzyć również poradnie dla czytelników na pierwszym stopniu zainteresowania książką. Nieocenioną usługę oddać tu mogą organizacje społeczne, a zwłaszcza organizacje partyjne, które dbając o lekturę swoich członków, będą dbały równocześnie o rozwój ich świadomości politycznej i społecznej.



Okładka „Pustelni Parmeńskiej”
Sp. Wyd. „Książka”

Przeglądając statystyki dotyczące ruchu wydawniczego, możemy stwierdzić, że wysokość nakładów w Polsce po roku 1945 przewyższa w znacznej mierze nakłady do roku 1939. „Stara Baśń” Kraszewskiego w ciągu trzech lat rozeszła się w ilości 96.000 egz. Inne pozycje polskiej literatury klasycznej również rozchodziły się w nakładach o jakich przed wojną nawet się nie śniło. Wydawnictwa KUK drukowane są w 50.000 egzemplarzy. Rzecz w Polsce zupełnie nieznaną do roku 1945.

Jednakże te same statystyki wykazują, że pod względem ilości tytułów rynek księgarski przejawia w porównaniu z latami międzywojennymi tendencję raczej niżkową. Z czego to wynika? Produkcja prywatnych firm wydawniczych — zwłaszcza w ostatnim okresie przedwojennym — była nastawiona przede wszystkim na zaspokojenie potrzeb cienkiej warstwy najczęściej snobistycznej inteligencji, która rzadko zresztą nabywała książki, korzystając zazwyczaj z tzw. „wypożyczalni”. Wszyscy znamy i pamiętamy ową nieustającą pogoń za „nowościami” a molog Dory Kalinówny z dawnego „Qui Pro Quo” — nie pamiętam zresztą jego tytułu — w roli właścicielki czy też abonentki takiej wypożyczalni doskonale tłumaczy ów dziwny napózór fakt, że pod względem ilości tytułów góruje okres przedwojenny. Oto zestawienie statystyczne. Księgarz przed wojną wydawał powieść czy tzw. „nowość” przeciętnie w 1.500—2.000 egz. Z tego trzecia część szła do wypożyczalni, co pokrywało koszty własne. W tych warunkach nic dziwnego, że mnożyły się tytuły. Należy tu przypomnieć ku hańbie lat międzywojennych, że „Dzikuska” Ireny Zarzyckiej osiągnęła nakład rekordowy 60.000 egz.

Porzucam jednak statystykę nakładów, interesuje mnie bowiem przede wszystkim nie to, ile się wydaje, ale — co i dla kogo się wydaje. Myślę, że o ilości wydawnictw decydować musi to, dla kogo są one przeznaczone. Z doświadczenia wiadomo, że współczesna beletrystyka wydawana jest przez spółdzielnie wydawnicze przeciętnie w nakładach 10.000 egz. Klasycy — w 20.000 egz. Poezja — w 3—5 tys. egz. Podobnie essaye. W tej sytuacji 96.000 egzemplarzy „Starej Baśni” nie jest bez wyrazu, choćby nawet większa część tych nakładów nabyła i przeczytała młodzież szkolna.

Stara to sprawa, pisałem o niej już nie raz. Główną wadą naszego życia wydawniczego jest niezdecydowanie. Uchwalamy ustawę o wyłączeniu trzynastu czy też dwunastu klasyków polskich, ale roz-

poczęliśmy wydawać pisma zbiorowe tylko trzech czy czterech. Wielkie spółdzielnie nie wydają Szekspira ani Byrona, ale za to drobni wydawcy prywatni wydali w pierwszym kwartale 1948 roku — 37 książek tłumaczonych z języka angielskiego. Dają słowo anglistom i tym wszystkim, którzy przypuszczają, że kierują mną względy aktualnej polityki, iż wśród tych prywatnych wydawców ani jeden nie wydał nic z literatury angielskiej, co by w swojej wartości artystycznej i ideologicznej przewyższyło tak sentymentalny oleodruk jak „Przemieło z wiatrem”. Wielkie spółdzielnie wydały co prawda kilka tomów Balzaca i Stendhala, ale w ten sposób po pierwsze — wciąż brak nam pełnego Balzaca i Stendhala, po drugie — nie wypełniono jednego z najważniejszych zadań wydawniczych po wojnie, nie przystąpiono do powtórnej, pełnej edycji znakomitej Biblioteki Boya.

Podobnie dzieje się z klasykami rosyjskimi. Pisałem już kilkanaście razy, co myślę o wartości tej literatury dla najszerszych mas czytelniczych, łącznie może nawet z czytelnikami pozostającymi na poziomie pierwszego stopnia zainteresowania książkami.

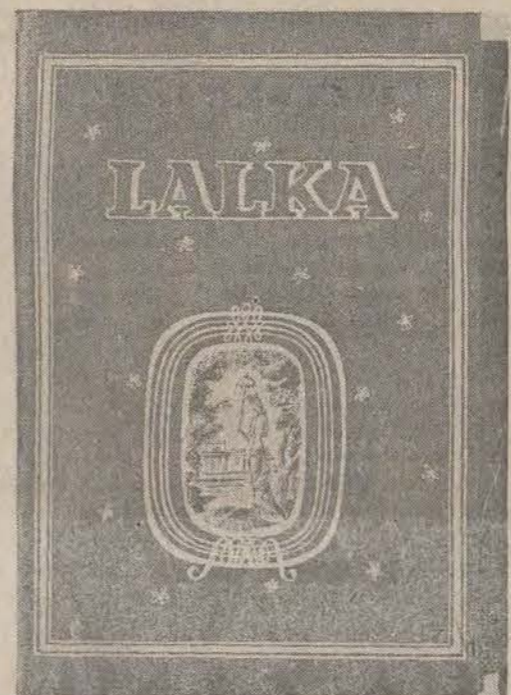
Nikt z nas — spośród inteligentów i intelektualistów — nie wykształcił się i nie wychował na literaturze współczesnej. Czytaliśmy klasyków, czytaliśmy tych wielkich pisarzy, którzy za życia byli sumieniem swoich narodów, a zarazem — i całego świata. Nie wymieniam ich nazwisk — każdy z nas podałby tu może nazwiska inne, ale każdy z nas pochylał się z szacunkiem i pokorą na samych ich brzmieniu.

Z własnej praktyki wiemy, że drogę do zrozumienia i poznania tego, co nas otacza, torowało nam zarówno doświadczenie osobiste, jak i doświadczenie historyczne, które poznawaliśmy z książek. Gdzieś jaśniej, mądrzej, dokładniej i precyzyjniej ukazane jest to doświadczenie historyczne, jeśli nie w dziełach wielkich pisarzy klasycznych, od Swifta do Franca, od Woltera do Tolstoja? Z tej ogromnej biblioteki można i należy wybrać kolejno to, co pomoże nowemu czytelnikowi w odrzuceniu całego balastu drobno-mieszkańskiej pseudokultury, co nauczy go kochać mądrą myśl, celnie i trafnie wypowiedzianą, co pokaże mu wielkość człowieka i wartość jego czynów, co wreszcie go przekona, że wraz z całym swoim pokoleniem jest spadkobiercą najświetniejszych tradycji ludzkiego serca i myśli. Tak przygotowany czytelnik potrafi wtedy nie tylko czytać nasze książki, ale co ważniejsze, co stokroć ważniejsze — potrafi je nalezyć, świadomie ocenić. Taki czytelnik nie będzie nam wierzył na słowo, podobnie jak i my nie wierzyliśmy literaturze współczesnej — będzie od nas wymagał tego, czego nauczyli go klasycy — jasności, rozsądku, uczciwości. Jeśli mu tego nie potrafimy dać — tym gorzej dla nas. I tym lepiej dla czytelników. Niechże wtedy nasze książki — ciemne, nierozsądne, nieuczciwe — leżą głęboko na dnie szuflady.

Oto więc w moim głębokim przekonaniu sprawa kultury mas jest związana nierozdzielnie z książką, czyli w naszych warunkach ekonomiczno-społecznych z organizacją ruchu wydawniczego.

Wydaje się rzecz co najmniej nieczym nieusprawiedliwiona, że gdy wszystkie dziedziny narodowego życia gospodarczego są ujęte w celowe i ściśle plany, ruch wydawniczy pozostaje bez planu czy poza planem. Nie znaczy to oczywiście, że poszczególne instytucje wydawnicze nie ma-

ją planów. Oczywiście mają i to bardzo interesujące. Warto by jednak zorientować się, co z tych planów zostało wykonane. W jakim procencie wypełniono luki w bibliotekach, a więc także w umysłach ludzkich. Niewątpliwie nie mamy powodu wstydić się tego, co zostało dokonane w zakresie prac wydawniczych. Ale to co uczynić należy, jest nieproporcjonalnie do tego co uczyniono. Pierwszym — jak sądzę — krokiem w tej dziedzinie powinno być stworzenie dwóch planów ściśle i wzajemnie od siebie zależnych: planu wydawniczego i planu rozprowadzenia tego, co zostanie wydane. Nie jestem ekonomistą, trudno mi więc zajmować czytelników tym drugim planem. Co do planu wydawniczego, to ten winien być ustalony dla wszystkich wydawnictw państwowych i społecznych — inicjatywa prywatna nie wchodziłaby tu w rachubę. Poszczególne wydawnictwa powinnyby się specjalizować w danym typie wydawanej literatury, przy czym współczesna poszczególne wydawnictwa powinnyby stanowić wspólną domenę wszystkich wydawnictw. Jedno z wydawnictw winno prowadzić robotę długofalową i tworzyć racjonalnie, z udziałem sił naukowych i literackich, rzetelną bibliotekę narodową, złożoną z dzieł najświetniejszych i najbardziej cennych własnych i obcych. Z pewnych względów temu właśnie wydawnictwu należałoby może powierzyć niezmiernie ważną i ciekawą u nas zaniedbaną sprawę wydawania słowników, encyklopedii, dzieł pomocniczych itp. Wydawnictwo to będzie bowiem skupiało pracowników naukowych i z natury rzeczy będzie nastawione na prace długoterminowe.



Okładki „Lalki” Wyd. Gebethner i Wolff

Z drugiej strony jest rzeczą konieczną, by w planie wydawniczym zostały przewidziane te pozycje, które zostaną w wielkiej ilości i możliwie po jak najniższych cenach rzucone na wieś i do miast. Półka cena książki będzie się utrzymywała na tej wysokości na jakiej utrzymuje się obecnie, póty książka nadal będzie dochodzić niemal wyłącznie do czytelnika-inteligenta.

Specjaliści — przyszli autorzy planu rozprowadzania wydawnictw znaleźć muszą sposób na obniżenie ceny książki, a także na doprowadzenie jej do odbiorcy

bez pośrednictwa księgarni, co z jednej strony pozwoli na zmniejszenie ceny, z drugiej zaś — wpłynie niwelująco na zapędy niektórych wydawnictw, reklamujących i dostarczających niemal wyłącznie „swoje” wydawnictwa. Znam wypadek, gdy w prowincjonalnym miasteczku sklep danej instytucji wydawniczej choć jest jedynym sklepem z książkami i piśmami posiada na składzie wyłącznie wydawnictwa „własne”.

Na zakończenie chciałem jeszcze napisać kilka słów o wydawnictwach klubowych jako o formie społecznego rozprowadzenia książki. Wydaje mi się, że przez klubowe kanały książka znowu dociera tylko tam, gdzie nie wywiera ona zasadniczego przełomu w życiu człowieka, nie zmienia go, w niczym mu nie pomaga, niczego nie uczy. Obawiam się, że przez kanały klubowe książka dociera do tych czytelników, którzy chcą, by lektura ich przed wszystkim bawiła. Gdyby tak było — nie jestem pewien, czy tak nie jest — znaczy to, że w książki tym sposobem zaopatrują się nadal czytelnicy z bardzo ograniczonego kręgu społecznego. Podejrzewam — choć chciałbym się mylić — że kluby są czymś w rodzaju nieco zdemokratyzowanej i pierwszorzędnej wypożyczalni książek, gdzie się mieszczącemu czy też inteligentkiemu czytelnikowi podsuwa nowości.

Ale przeciw sprawie przełomu kulturalnego w Polsce nie zależy od tego, czy 20.000 inteligentów przeczyta „najnowszą” powieść tego czy innego autora. Przełom kulturalny w Polsce może się dokonać jedynie wtedy, gdy z mentalności i obyczaju, z serc i z umysłów jak największej ilości ludzi zostanie na zawsze wygnana drobnomieszkańska tradycja kulturalna. Ten diabeł wydaje mi się tak mocny, że nie przestraszy się egzorcyzmów moich utalentowanych i czciogodnych kolegów — współczesnych pisarzy polskich. Tu trzeba się zwrócić o pomoc do klasyków.

Kończąc te rozważania o książkach i kulturze, uparcie trzymając się mojej myśli przewodniej: wydaje mi się, że w chwili obecnej rzeczą najważniejszą jest przekazanie nowemu odbiorcy wszystkiego, co jest naprawdę cenne w dorobku kulturalnym świata. Przyczyną, które skłaniają mnie do zajęcia takiego stanowiska wyjaśniłem już powyżej. Nie wydaje mi się również, by mimo olbrzymiego postępu, jaki dokonał się w dziedzinie spraw wydawniczych, uczyniono choćby minimum tego, co należy uczynić, aby włączyć w krąg kultury jutrzejszych jej twórców. Niewątpliwie nie będą oni długo czekać na naszą pomoc, na pewno wielu z nich da sobie radę bez nas i dotrze do książek, których z uporem nie wydajemy od trzech lat. Ale czy nie jest naszym obowiązkiem zoszczędzić im poszukiwania na oślep tego źródła wiedzy i światła od którego pokolei odwracała się i szlachta, o której że „nie rozumie” mówił Teofil Januszewski do Słowackiego, i mieszczaństwo z chwilą gdy osiągnęło już pełnię władzy, i wreszcie publiczna drobnomieszkańska, żądna sensacji i nowości?

Jak to uczynić — w jaki sposób najlepiej i najszybciej odkryć to źródło światła i wiedzy z jakiego muszą czerpać ci, których zadaniem historycznym jest przywrócić człowiekowi jego pełnej godności, a życiu na ziemi — jego utraconej przed wiekami urody — tego powieść nie potrafie. Wierzę jednak, że są to sprawy najważniejsze i dlatego dzieję się tymi kilkoma myślami, które — być może — do czegoś posłużą. Wypowiedziałem je zapewne zbyt rozwlekle, chaotycznie, a także okazując za mało cierpliwości. Ale sądzę, że w tych sprawach niecierpliwość jest właśnie największą cnotą.

Paweł Hertz

TREŚĆ NUMERU 17:

Paweł Hoffman — Po obu stronach Oceanu; Jan Smutek — Ptak pokoju; Głosy o pokoju; Kandyd — Tak toczy się światek; Aleksander Jackiewicz — Dzieje rodu Artamonowów; Pieśń rewolucyjna; Leszek Kolakowski — Rewolucja zdrowego rozsądku; Mieczysława Buczkówna — Gwiazdy pokoju; Leon Pasternak — Narodziny; Seweryn Pollak — Chińska ofensywa; Lucjan Rudnicki — Częstochowa i Kraków; Seweryn Pollak — Radziecki Teatr Dramatyczny w Łodzi; Edward Csato — Występy Moskiewskiego Teatru Dramatycznego; Adam Ważyk — Z teatrów łódzkich; Janina Pręgorówna — Książka o pracy w służbie socjalizmu; Przegląd prasy; Kronika radziecka; Na półkach księgarskich; N.t.y.

LEON PASIERNAK

APOSTROFA

O, ziemio nasza, ziemio ludzka,
unosisz w biegu swym niezmiennym
marzenia śmielsze — od elipsy,
którą, bezwolna, opisujesz.

Planeto martwa i okrutna,
drobinko księżca w gwiazdnym pyłe,
w przestrzeniach, które przesyć może
jedynie myśl i światła promień!

Unosisz w biegu swym niezmiennym
marzenia ciągle niedosięgie,
które zdobywać — znaczy żyć
i wolnym stać się i zwyciężać.

Bezbronni jeszcze wobec wichru,
płomienia, fali, swego lęku —
żywiolom jednak niepokorni
— sięgamy w przyszłe tysiąclecia.

RYSZARD MATUSZEWSKI

PISARZ WŚRÓD CZYTELNIKÓW

DZIWNE, że tak mało spotyka się pisarskich relacji z odbywających się objazdów terenowych literatów, organizowanych w ramach „czytelnikowskiej” akcji „Pisarze wśród czytelników”. Akcja ta zakrojona jest na szeroką skalę. Przed paru tygodniami jeden z wojewódzkich inspektoratów kulturalno - oświatowych „Czytelnik”, przesyłając mi zaproszenie na objazd autorski pochwalili się cyfrą paruset wieczorów i poranków tego typu na swoim terenie, odbytych w ciągu ostatniej jesieni i zimy przez pięciu zaledwie pisarzy. Jeden z nich miał na obszarze wspomnianego województwa pięćdziesiąt osiem występów, drugi czterdzieści pięć, dwaj dalsi około czterdziestu. Nie wiem, czy pisarze ci nie przewędrowali również i innych województw. Jeśli tak — można by doprawdy mówić o poroście do typu wędrowną mównicę literatury z dawnych epok cywilizacji. Ale żart na stronę.

Znam pisarzy, którzy w akcji objazdowej biorą udział niechętnie, tłumacząc się tym, że nie umieją przemawiać lub że ich to odrywa od właściwej roboty. Są to oczywiście rzeczy bardzo indywidualne i trudność jaką dla niejednego z ludzi pióra stanowi zetknięcie się oko w oko z publicznością lub przerwanie toku systematycznej, wyteźonej pracy — należy uszanować. Niemniej nie sądzę, i myślę, że nie sądzi żaden z pisarzy, którzy w objazdach terenowych brali udział, aby czas jaki na objazdy te poświęcił, był dla nich stracony. Suma doświadczeń, zdobytych w wędrownych po polskiej prowincji stanowią na pewno żelazny pisarski kapitał.

Nie mogę pochwalić się tak rozległą sumą „mówionych” kontaktów z czytelnikami, jak którykolwiek z autorów tu wymienionych, miałem ich bowiem na terenie jednego z województw zaledwie siedem. Być może, że jest to pewne zarozumiałstwo i lekkomyślność z mojej strony, że potrzebą się w ciągu paru dni tylko autobusami na trasie Lublin — Radzyń — Biała Podlaska, porывując się na pisanie o wnioskach i refleksjach z tego objazdu tak, jakby były one czymś więcej niż subiektywną i przypadkową wiązką wrażeń. Wydaje mi się jednak, że nawet taka garść wrażeń może mieć swoje znaczenie, skoro dotyczy tak ważnej i istotnej sprawy jak sprawa naszego czytelnictwa, upowszechnienia oświaty i kultury.

Objazd mój był pierwszym objazdem krytyka na terenie, po którym dotąd wędrowało tylko kilku powieściopisarzy i jeden bodaj tylko poeta. „Teren” sam zażądał krytyka — jak mnie objaśniono.

— Chcia wiedzieć coś o literaturze. Przyjeżdża pisarz, czyta im fragment swego utworu, a później, kiedy odpowiada na pytania, chce nie chcąc musi mówić o tym, o czym właściwie powinien mówić krytyk: o kierunkach literackich, o zagadnieniach, bo publiczność tego jest spragniona, ciekawa. Publiczność owa chce się przy tym dowiedzieć wszystkiego, choćby w skrócie, ale od początku. Lektura pisma literackiego nie zaspakaja jej potrzeb, bo nie jest i nie może być systematyczna. Artykuły, rozprawy i dyskusje w czasopiśmie — to ustawiczne dalsze ciągi: rzeczy wymagające ciągłych wyjaśnień, odsyłające czytelnika wstecz, ku jakimś zagubionym początkom kształtujących się pojęć ścierających opinie...

Książka? Otóż to: brak — absolutny brak książki krytycznej, wprowadzającej czytelnika w sposób popularny w całości zagadnień naszej współczesnej literatury. Książki krytyczne na pewnym poziomie — to zbiory esejów i rozpraw z pism literackich. Mniejsza o to, że stanowią one materiał łatwo dostępny jedynie dla czytelnika w pewnym sposób już przygotowanego do tej lektury: od ludzi interesujących się zagadnieniami literackimi można wymagać pewnego wkładu umysłowego. Ważniejszy szkopuł stanowi to, że są to na ogół jedynie fragmenty głębszej wiedzy o poszczególnych zjawiskach literackich, pozbawione części informacyjnej, skazujące czytelnika na czerpanie elementarnych, ogólnych wiadomości z publikacji literackich znaczących typowej kompilatorskiej „prywatnej inicjatyw”, która z niesłychanym handlowym sprytem wykorzystuje sytuację i wiska się na rynek.

Znamy dobrze omówiony niedawno na łamach „Kuźnicy”, mało inteligentny bryk pewnego polonisty, pełniący dziś rolę dywnej książki, informującej o literaturze współczesnej, podającej nazwiska, daty i krótkie charakterystyki pisarzy. Nie ludzie się, specjalnie do dyskusji ideologicznych: każdy z tych, co będzie chciał czy-

tać was i, co ważniejsze, wielu takich, co was nie przeczyta — przeczyta ów bryk, zapamięta tamte charakterystyki, zle i głupie.

Znamy zawodowca od układania antologii. W latach trzydziestych jedna z nich dla wielu przedstawicieli mego pokolenia stanowiła pierwsze wtajemniczenie we współczesną literaturę owego okresu. O Leśmianie czytaliśmy tam: „Śpiewak to baśni pełnych fantazji, wolnych od wszelkiej naleciałości ziemskiej. Oddaje w swych utworach piękno nieprzemijające, nieśmiertelne. Jest poeta marzeń nieziszczonych snów na jawie, uczuć niedośpiewanych”. O Iwaszkiewiczu: „...A czasem niespodziewanie otworzy się przed nami cicha, skłupiona dusza poety, który wówczas powiada” itd. (cytaty). O Słonimskim: „...By żongler igrą wprost wyrażeniami i zwrotami, przechodząc wszelkie możliwe skale, co chwila czyniąc wypadki przeciwko mnogim, przetrzymując przeciwnikom, gromiąc, obalając, sztyjąc, koląc”.

Być może, iż nie ma w tym wszystkim wielkiego nieszczęścia. Istotną częścią antologii są w końcu same wiersze, nie komentarz, a z wierszy, wiedziony ich siłą sugestywną, czytelnik zapamięta zapewne najlepsze a zapomni wątpliwe. Z książki o literaturze utkwia mu w pamięci przede wszystkim wybite tułami drukami nazwiska. Bałamutne charakterystyki wyprostują sąd własny i dalsza lektura. Trudno jednak uważać taki laissez-faire za licujący z epoką planu kulturalnego.

Zapewne: wydanie przyzwoitej antologii, a zwłaszcza rozsądnej informacyjno-orientacyjnej książki, stanowiącej przewodnik po współczesnej literaturze wymaga czasu, a natura nie znosi próżni. Sądzę jednak, że wydawanie w tym wypadku poważniejszych książek krytycznych, choćby tylko częściowo zaspakajały one wspomniane wyżej potrzeby — w wybitnie niskich nakładach jest krótkowzroczne i do pewnego stopnia szkodliwe. Krótkowzroczne, bo doświadczenie wskazuje, że książki te rozchodzą się lepiej, niż przewidywały operujący często przedwojennymi, kapitalistycznymi schematami kalkulacyjnymi wydawca. Szkodliwe, gdyż zdarza się, że książka, którą mogłaby się rozzejść o wiele szerzej — do pewnych ośrodków

w ogóle nie dociera, ustępując miejsca mniej wartościowym publikacjom, o których wyżej była mowa. W witrzynach księgarń miast prowincjonalnych na próżno szukałoby się niektórych niedawno wydanych książek naszych krytyków. Nie tylko tam zresztą. Nie ma ich często na wystawach w Łodzi, Warszawie. W najmniejszej dziurze natomiast wabi oko ów obraz czy raczej obraz literatury polskiej, krzywe zwierciadło krytyki, wiedza o literaturze dla ubogich, rzucona na rynek przez prywatną inicjatywę jednostki kalkulującej trzeźwiej, niż tzw. wydawcy poważni.

Wrómy jednak do sprawy objazdu. Niejednemu z czytelników niniejszego felietonu wyda się może rzeczą zastanawiającą fakt, że publiczność naszej, głuchej, zapadłej prowincji pragnie na serio posłyszeć coś o literaturze od krytyka.

Co tu mówić o czytaniu książek krytycznych, — słyszy się — jeśli spośród nowel i powieści najlepiej rozchodzą się takie, gdzie interesująca i podniecająca wyobraźnię akcja towarzyszy raczej wątku problematycznemu. Czyż nie są u nas najpopularniejszymi z pisarzy — autor nieskomplikowanych i schematycznych powieści o przygodach lotników i utalentowanych, lecz daleki od naszej współczesnej problematyki kulturalnej podróżnik po egzotycznych krajach? Czyż to nie oni właśnie biją rekordy w wędrownych objazdach „Czytelnik”? Czyż nie oni przede wszystkim podniecają wyobraźnię piętnastolatków dziełami swego specyficznego i z tzw. wielkimi celami literatury nie wiele mającego cech wspólnych talentu? Jakież to nazwiska padają przed innymi, kiedy zebranych dla wysłuchania prelekcji krytyka o współczesnej literaturze zapyać o pisarzy najchętniej czytanych, najlubiejszych? Czy Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Adolfa Rudnickiego?

Otóż stwierdzić należy, że nie jest to ściśle. Padają nazwiska różne. Wśród nich także nazwiska najlepszych pisarzy. Ale nawet stwierdzając, że tylko obok nich i nie wyłącznie słyszy się nazwiska, świadcząc raczej o niewielkim wyrobieniu literackim czytelników, — nie możemy zaprzeczyć istnieniu u nas niejednokrotnie podkreślanego, wyraźnego podziału na li-

teraturę pierwszego i drugiego rzędu, przy czym ani pierwsza nie spełnia swoich zadań, nie osiągając siły ani prostoty wielkich pisarzy realistów i wychowawców społeczeństwa, ani druga nie zaspakaja naszych wymagań, trywializując ludzkie sprawy, przykrawając je na miarę drobniomieszczańskich gustów rozrywkowych.

I mimo to stwierdzić musimy, że nie jest tak źle, czy też, powiedzmy raczej, tak wąsko z kręgiem zainteresowań naszego odbiorcy, jak toby wynikało z oportunistycznych i pesymistycznych rozumowań tych, którzy pragnęliby podsuwać mu „na pewniaka” jedynie rzeczy już przez niego przetrwione. Właśnie odbiorca niewyrobiony, przekładający niekiedy średnich pisarzy nad dobrych, chce i potrzebuje krytyka jako przewodnika. I potrzeba ta jest zrozumiała, jeśli sobie uprzytomnić, że mało kto spośród mających pretensje do literackiego wyrobienia potrzebuje tej nie znał w okresie własnej młodości. Któż z nas, nim doszedł do rozbijającej pewne schematy przyzwyczajęń, ekspansywnej ciekawości, nie trzymał się uparcie „wypróbowanych”, niezawsze najlepszych autorów, bo autor nowy — to było ryzyko, wielka niewiadoma, niebezpieczeństwo gorzkiego zawodu i nudy?

Krag doświadczeń czytelnika można poszerzać tylko mówiąc mu o książkach i autorach, informując go wszechstronnie i szeroko, począwszy od książek, które czytał, a kończąc na tych, których nie czytał, rozwijając przed nim zagadnienia zrazu bliskie, potem dalsze i znacząc do nich dojsie tytułami dzieł i nazwiskami autorów, z którymi powinien się zapoznać.

Słusznie powie ktoś: to są funkcje pedagoga, oświatowca, nie koniecznie krytyka. Jasne.

Skoro jednak żyjemy w kraju, w którym do niedawna jeszcze była na początku historia literatury, sięgająca w najlepszym razie końca minionego stulecia i służąca do znanudzenia licealistów oraz książka krytyczna, pełna formalistycznych rozważań dla przyczynkarzy, wydana w dwu tysięcznym nakładzie, z którego połowa zalegała księgarnie piwnice; skoro potem długo, długo nie było nic, a dopiero gdzieś tam powstęła oświata, dla której zainteresowanie współczesną literaturą nie stanowiło właściwie zagadnienia, bo wiadomo było, że 99 proc. kończących tylko szkołę podstawową nic nigdy w życiu czytać nie będzie; skoro w tym kraju krytyk wychodzący z tak złych tradycji myślowych, jak chociażby tradycje brzoźszczyzny, chce być użyteczny — musi on, podobnie jak i ogół pisarzy włożył pewien wysiłek w to, aby wiedzieć ilu i jakich może mieć odbiorców.

Tym skuteczniej będzie mógł zwalczać zło, które już wyżej określiliśmy jako pesymizm i oportunizm. Zło polegające na pozostawieniu czytelnika samemu sobie, jego gustom i nawykom, kształtowanym czasem przez umysłowe lenistwo, czasem przez brak właściwego środowiska, brak ambicji kulturalnych jakie w środowisku takim się rodzą.

I tutaj powiedzieć trzeba, że objazd po niektórych odległych okolicach Polski w roku 1949 dostarczyć może pisarzowi, który by ulegał owym nastrojom oportunistycznego pesymizmu, jaki wywołuje niejednokrotnie choćby podróż pociągiem z Łodzi do Warszawy („Przekróć”, „Przyjaciółka”, „Przyjaciółka”, „Przekróć”) — niejednej niespodzianki.

Bo oto znaleźć się może nagle w jakiejś wypalonej niemal do cna osadzie w nabej po brzegi sali i toczyć ożywioną dyskusję o współczesnej poezji, którą rozpocznie zresztą stereotypowa pretensja, że ta poezja jest niezrozumiała.

Może się zdarzyć, że po zgłoszeniu takiej pretensji wybuchu namiętny spór, świadczący o żywych zainteresowaniach literackich, spór o rzeczy — to prawda — przebrzmiałe już dla literackiej prasy, ale tutaj właśnie aktualne i podniecające: o wiersze Przybosa, o poetycką awangardę, o Gałczyńskiego, Miłosa, nawet Tuwima. Kiedy indziej będzie to dyskusja o prozie: słowa realizm, psychologizm, naturalizm trzeba będzie wyjaśniać dokładnie i zarazem szeroko. Nie będzie tutaj miejsca na owe charakterystyczne dla dyskusji literackich odcienie i niedomówienia, owe „mrugnięcia” zakładające, że czytelnik wie, o co chodzi, bo stanie się rzeczą jasną, że nie wie, i że trzeba mu wszystko systematycznie wytłumaczyć. Myślę, że bezpośredni kontakt ze słuchaczem jest nawet niezłą szkołą dla pisarzy i krytyków w kraju, gdzie jasność i precyzja w mowie i piśmie nie należą wcale do tradycji powszechnie obowiązujących.

PRASA SŁUŻY CZŁOWIEKOWI

5 MAJA ROKU 1912 ukazał się w Petersburgu pierwszy numer „Prawdy”, dziennika robotniczego, wydawanego przez bolszewików. Był to okres ponownego wzniesienia się ruchu, który właśnie wtedy wychodząc z kulkulejnej depresji czasów porowolucyjnych nabierał nowego rozmachu politycznego i organizacyjnego.

Odpywowi fal rewolucyjnej po roku 1907 towarzyszył w rosyjskim ruchu socjalistycznym kryzys ideologiczny i organizacyjny, który bez reszty ujął w oportunizm i charakter i ugodowy rolę mieniszewickiego odłamu socjal - demokracji. Ta rosyjska odmiana europejskiej prawicy socjalistycznej, której kontrrewolucyjna postawa wystąpiła na jaw już w latach 1905—1906, w latach następnych ostatecznie zwyrodniała w jakąś liberalną partię robotniczą, o bardzo zresztą nikłych wpływach wśród proletariatu.

Na tym tle, i na tle ponownego przypływu fali rewolucyjnej doszło do definitywnego, organizacyjnego i formalnego ukonstytuowania się bolszewików w odrębną, rewolucyjną partię marksistowską. Nastąpiło to na konferencji praskiej w styczniu r. 1912 — i w niewiele miesięcy potem ukazał się pierwszy numer „Prawdy”.

W ZSRR Piąty Maja dzień założenia „Prawdy” proklamowany został dorocznym Dniem Prasy. Jest to święto prasy w służbie budownictwa socjalistycznego, w służbie człowieka. Bo taki jest przecież charakter i taka rola prasy w ZSRR. Idzie nie tylko o to, że prasa radziecka reprezentuje i krzewi inną ideologię, że służy innym, wręcz przeciwnym niż prasa burżuazyjna celom i zadaniom społeczno - politycznym. Z tej rewolucyjnej roli wychowawczej, jaką spełnia w ZSRR prasa w rękach partii komunistycznej, stanowiąc potężne narzędzie wychowania milionów ludzi, dorosłych i młodszych, wynika też oblicze tej prasy, wynikają środki i metody jej działania, wynika postawa zawodowa dziennikarza czy publicysty radzieckiego, jego pozycja w społeczeństwie.

Mówi się, że np. w odróżnieniu od prasy burżuazyjnej — tej brukowej i tej „poważnej” — prasa radziecka nie karmi czytelnika sensacjami. Słusznie — jeżeli przez sensację rozumieć deprawujące czytelnika „szlagiery” kryminalne, morderstwa i rabunki, zbrodnie na tle seksualnym i pelcowizniane tragedie miłosne, na których żeruje, w których specjalizuje się i rywalizuje większość prasy burżuazyjnej, stanowiącej przez to jedno z najpotężniejszych narzędzi ogłupiania mas, trzymająca ich w ciemności e co za tym idzie, w jarzmie kapitalu.

Pomyślmy jednak — czy sensacje podawane na czołowych stronach gazet radzieckich

sensacyjnością swą nie przewyższają najbardziej wymyślonych, najobrzydliwiej perwersyjnych szlagierów i bomb prasowych, którymi dzienniki i tygodniki burżuazyjne rząca swych czytelników?

Co jest większą sensacją: wiadomość o wyhodowaniu nowego gatunku pszenicy lub ziemniaka, który przynosi się i przynosi plon na Dalekiej Północy, gdzieś za kołem podbiegunowym — czy depeza o trzecim rozwodzie słynnej diwy filmowej i poślubieniu przez nią na odmianną, egzotycznego maharadzę?

Od sensacji pierwszego typu roją się przecież szpalty gazet w ZSRR. Nowe wynalazki, fantastyczne zwycięstwa w walce z przyrodą, sensacyjne odkrycia archeologiczne — oto treść tego co obok polityki i tematyki ogólno - społecznej podaje prasa radziecka swemu czytelnikowi. W jakim kierunku pobudza to wyobraźnię, na jakie sprawy ludzkie u-wrażliwia serce i umysł — nie trzeba wyjaśniać. Dlatego w Dziel Prasy radzieckiej zarzykujemy twierdzenie, że jest to prasa najbardziej i w najlepszym tego słowa znaczeniu sensacyjna, więcej: że jest to, jak dotąd, jedyna chyba prawdziwie sensacyjna prasa w świecie. Bo, zdaje się, największą sensacją dla człowieka (nie zdeprawowanego i nie ogłupianego przez „sensację burżuazyjną”) jest własny jego zwycięski czyn, triumf jego pracy i jego myśli przeobrażającej świat. Wyraz temu daje, zainteresowanie w tym kierunku budzi i namiętność dla tych spraw rozpała prasa radziecka, prasa socjalizmu.

Czyż trzeba mówić dziś o rzeczach powszechnie znanych, o wielkiej roli tej prasy, o ile idzie o wychowanie człowieka w duchu braterstwa ludzi i narodów, o wyrabianiu w nim poczucia odpowiedzialności za to, czym jest w społeczeństwie i dla społeczeństwa?

Czy trzeba mówić o doniosłej roli, jaką spełnia prasa radziecka w obronie pokoju i zasad sprawiedliwości międzynarodowej? Wynika to przecież z jej socjalistycznego charakteru, z tego, że radziecki dziennikarz i publicysta pojmuje swa pracę jako walkę na jednym z najdonioślejszych odcinków frontu ideologicznego — zarówno w czasie pokoju, jak podczas wojny, kiedy jako żołnierz w wielkiej walce o wolność własnego narodu i wszystkich narodów, był jednym z twórców zwycięstwa nad faszysmem.

Radziecki Dzień Prasy przypomina o tym wszystkim, przypomina, że naczelnym kryterium oceny pracy dziennikarskiej jest jej wysoka ideaowość i poczucie odpowiedzialności społecznej. 5 maja — to dzień prasy, która służy człowiekowi.

Mówiło się tu o słuchaczach, czytelniku i publiczności z celowym uproszczeniem, nie analizując tych pojęć i nie przeprowadzając wśród nich rozróżnień. Anonimowe potraktowanie postaci odbiorcy miało na względzie skupienie uwagi na zagadnieniu zadań pisarza i jego funkcji w stosunku do tego odbiorcy. Uwagi niniejsze byłyby niepełne, gdybyśmy na koniec nie podkreślili, że warunki w jakich zadania te kształtują się w sposób wyżej przedstawiony, to warunki optymalne. Publiczność, która chce kontaktu z krytykiem, takiego jak wyżej przedstawiliśmy, — to publiczność najbardziej wyrobiona.

Co to za publiczność?

Moje zetknięcia ze słuchaczami, którzy korzystali z imprez „czytelnikowskich“ pozwoliły mi poznać trzy jej rodzaje: młodzież, publiczność robotniczą i mieszkańców niewielkich powiatowych miast, przychodzących jako słuchacze niezorganizowani.

O reakcji publiczności robotniczej trudno mi jest ogólnie mówić w tym miejscu. Nie łączy się to z objazdem, który dostarczał okazji do uwag niniejszych, gdyż podczas tego objazdu kontakt taki miałem tylko jeden, wprawdzie bardzo interesujący, ale nie typowy, w ośrodku małego przemysłowictwa. Wniosek jaki by się dał z niego wysnuć, potwierdzałby fakt niewątpliwy, że zetknięcie pisarza z czytelnikiem robotniczym należy do najwładniejszych, ale wskazywałby też na to, że występuje ono w formach wciąż jeszcze, przynajmniej w tego rodzaju ośrodkach peryferyjnych, jak ten, w któ-

rym się znalazłem, — nie należy prze-myślanym i zorganizowanym. Byłby to zresztą problem osobny, przerastający ramy niniejszego artykułu.

Natomiast wnioskami najzupełniej pewnymi, potwierdzającymi się we wszystkich wypadkach, są wnioski o zdecydowanej przewadze typu publiczności młodzieżowej nad dorosłą, oraz publiczności zorganizowanej nad niezorganizowaną.

Wniosek o tym, że właśnie młodzież i tylko młodzież stanowi dziś najwładniejsze grono słuchaczy, zainteresowanych problematyką kulturalną, żywo reagujących na poruszane zagadnienia i domagających się ich poruszenia, jest przy tym oczywisty. Wniosek ten ma uzasadnienie psychologiczne, nie tylko społeczne.

Ale też jasnym i łatwo sprawdzalnym będzie fakt, że tylko w formie społecznej jaka jest szkoła, a w dalszym toku organizacje młodzieży, — może ów podatny grunt znaleźć uprawę. Żywa, chłonna publicznością, wieczorów i poranków literackich, imprez kulturalnych typu czynnego (nie zawodowego teatru i kina, gdzie mamy do czynienia z apercepcją raczej biernej) — jest właśnie młodzież zorganizowana, młodzież szkolna lub zrzeszona organizacyjnie.

Zgoda — powie na to sceptyk — niewątpliwie młodzież zgromadzona przegodnie, nieprzygotowana do zagadnień, które w jakimś tam stopniu wiążą się z programem szkolnym, będzie reagować słabiej. Ale jakżeż stąd dowód na to, że podobnie jak młodzież można zorganizować audytorium dojrzałe?

Dowód taki istotnie teoretycznie przeprowadzić trudno. Założenie, że podobnie jak młodzież można zorganizować i wychowywać do pewnych zagadnień publiczność dorosłą, że można zmienić jej styl życia, przestawić ją na nowe zainteresowania, kulturalnie uaktywnić, modelując w nowych warunkach społecznych nowy typ człowieka, ma wprawdzie swoje teoretyczne uzasadnienie, wynika jako wniosek z marksistowskiej teorii o socjalistycznym społeczeństwie, ale potwierdzić je może i potwierdza w pełni jedynie praktyka.

Praktyka ta u nas zaczyna dopiero działać. Próby organizowania audytorium przez związki zawodowe oraz instytucje społeczne jest dopiero początkiem. Ale czy przyzwolenie na to, by w publiczności, do której dzisiaj trafiamy, w młodzieży, w której umiemy, korzystając z jej naturalnej chłonności, obudzić zapal do literatury, sztuki, kultury w ogóle, — czy przyzwolenie na to, by zapal ów wraz z dojrzałością i roz poczęciem pełnego, aktywnego życia w społeczeństwie wystygł, — nie jest przyzwoleniem na zjawisko przypominające do złudzenia powrotny analfabetyzm?

Należy skończyć ostatecznie z wytworzoną przez formy walki o byt w ustroju kapitalistycznym sytuacją, w której początek czynnego udziału jednostki w procesie produkcji staje się końcem jej udziału w procesie przyswajania i pomnażania wartości kulturalnych, pozostających poza obrębem jej funkcji wytwórczych.

Należy skończyć nie tylko z tym, że robotnik, chłop i urzędnik nie czyta, należy walczyć o to, aby czytał planowo i z myślą o uzupełnieniu swej wiedzy, o czynnym udziale w życiu kulturalnym, o tworzeniu tego życia kulturalnego we własnym środowisku.

Aby to zjawisko nastąpiło, muszą być znalezione i wypraktykowane właściwe formy aktywizacji czytelnika i słuchacza. Trudno przypuścić, aby dało się je stworzyć bez oparcia o formację życia społecznego - organizacyjnego, o organizacje polityczne, zawodowe. Nie należy przytem sycić się spokojną pewnością, że dotychczasowy stosunek poszczególnych placówek terenowych tych organizacji do spraw kultury był zawsze dostatecznie aktywny. Jest rzeczą zrozumiałą, że niekiedy schodzą one na plan dalszy wobec zagadnień bardziej elementarnych: spraw organizacji życia gospodarczego, odbudowy. Sytuacja ta jednak ulega i musi ulegać zmianie. Podstawą szerzenia czytelnictwa, podstawą roboty kulturalnej, podstawą kontaktu oświatowca, pisarza, artysty z odbiorcą: słuchaczem, czytelnikiem — musi być — wskazuje na to wyraźnie dzisiejsze doświadczenie — audytorium świadome, przygotowane, zorganizowane, audytorium, dla którego problematyka kulturalna będzie przedłużeniem a nie oderwaniem się od problematyki życiowej, będzie rozszerzeniem, wzbogaceniem życiowych treści wyrastających z udziału w społecznym procesie produkcji.

Ryszard Matuszewski

MIECZYSLAW JASTRUN

O MIEJSCE DLA POEZJI

ROCZNICE Mickiewicza i Słowackiego przypomniały nam raz jeszcze rolę, jaką odegrała poezja w Polsce.

Zaden bodaj kraj nie zawdzięcza tak wiele poezji.

Szła ona razem z walczącymi o wolność, niekiedy ich wyprzedzała, była towarzyszką broni i marzenia o wolnej Polsce i wolnej ludzkości.

W czasie ostatniej wojny nie umilkła poezja polska, krążyła w odpisach i w odbitkach konspiracyjnej prasy pod okupacją hitlerowską, towarzyszyła wojsku polskiemu w Związku Radzieckim, powitała nową Polskę.

Wojna, która spustoszyła nasz kraj, zniszczyła również biblioteki publiczne i prywatne, i można bez wielkiej przesady powiedzieć, że pozbawiła naród nasz księzek dawnych i nowszych.

Odbudowa także w tym zakresie musi odbywać się z natury rzeczy stopniowo, powoli, nie mogąc od razu zapełnić pustki. Patrzymy z radością, jak w naszych oczach odradzają się dzieła wielkich pisarzy przeszłości, jak z popiołów zmartwychwstają książki, które kiedyś braliśmy w dłonie, nie wiedząc, że nasze pisane dzieje szernieją i rozsypią się w ogniu pożarów wojny.

Ukaże się wkrótce Narodowe Wydanie dzieł Mickiewicza, wyjdą Dzieła Zebrane Słowackiego i Wyspiańskiego.

Na razie wydawane przez „Książkę i Wiedzę“ dla użytku szkolnego dzieła i wybory klasyków od Kochanowskiego po Norwida i Staffa są pierwszym głodem poezji u młodzieży i nowych czytelników, którzy nie posiadają własnych bibliotek.

Poezja okresu dwudziestolecia, czasu wojny i pierwszych lat powojennych udośćpioną została w kilkunastu wyborach i nowych zbiorach przez spółdzielnie wydawnicze, przede wszystkim przez „Czytelnika“ i „Książkę“.

Wszystko to oczywiście jest zaledwie wstępem. Potrzebne są nie tylko wybory i antologie poezji dawnej i nowej, lecz również konieczna jest w bliskim czasie reedycja wszystkich pism klasyków poezji od Kochanowskiego po Staffa.

Również przekłady z poezji obcej powinny być dla dobra i rozwoju naszej kultury literackiej wzięte pod baczną uwagę. Wydana przez „Czytelnika“ antologia przekładów z poezji rosyjskiej jest już wyczerpana. „Książka i Wiedza“ przygotowuje pewną ilość tłumaczeń z poezji rosyjskiej przede wszystkim. Po dramatach Puszkina w przekładzie Seweryna Pollaka ma ukazać się wspólnym nakla-

dem „Czytelnika“ i „Książki i Wiedzy“ wybór dzieł wielkiego poety rosyjskiego, wybór który poprzedzi wydanie jego pism. W „bibliotece pisarzy polskich i obcych“ przeznaczony głównie dla szkół, wyszedł już maly wybór utworów Majakowskiego w opracowaniu Adama Ważyka.

Podobno w wydawnictwie tym ma również ukazać się antologia wierszy Artura Rimbaud.

Za naszych lat szkolnych czytaliśmy tego poetę pod ławką, czytaliśmy z pionącymi oczami.

Dobrze byłoby, żeby młodzież nasza dzisiaj poznawała „legalnie“ utwory tego młodzieńczego ojca całej nowoczesnej poezji. Mogłoby to przyczynić się poważnie do podniesienia niskiej na ogół kultury literackiej wstępujących w życie nowych pokoleń.

Słyszysz się wprawdzie głosy, że kultura literacka jest przesadą, ale głosy te są na szczęście rzadkie, i jawnie — mimo strasznie radykalnego nastawienia — wsteczne i zabobonne. Nie trzeba chyba powtarzać (przykrą rzeczą jest powtarzać w kółko to samo głuźcom), że kultura socjalistyczna zrodziła się na silnych podstawach postępowych tradycji literatury ojczystej i światowej.

Oczywiście, gdy mowa o tłumaczeniach, należy przekładać jedynie rzeczy o wybitnych wartościach. Nie wszyscy tłumacze zdają sobie z tego sprawę. Zresztą pracy tłumacza poezji nie docenia się u nas należycie. Kto na przykład zainteresował się poważnym trudem, który w przekłady z poezji rosyjskiej włożył Seweryn Pollak?

W Związku Radzieckim przyznano ostatnimi czasy nagrodę stalinowską Marszałkowi za przekład „Sonetów“ Szekspira. Świadczy to o właściwej ocenie pracy tłumacza wierszy.

Trzeba jednak nie tylko wydawać i wznawiać książki poetów nowych i dawnych, trzeba również budzić zainteresowanie dla poezji, która — mimo że dzisiaj nakłady jej są znacznie większe niż przed wojną — nie może się dotychczas poszczycić poczytnością tak wielką jak proza, lub co gorsza jak różne banialuki w rodzaju odcinków ilustrowanych opowieści o różnych Krupkach, oraz Wickach i Wackach. Nie chcę bynajmniej umniejszać wielkiego znaczenia prozy powieściowej, chciałbym jednak upomnieć się o prawo do życia dla poezji, spychanej często na ostatnie miejsce.

Nikt nie może zarzucić poezji współczesnej (tej, która się liczy), że jest niedostępna, niezrozumiała dla czytelnika z normalnie rozwiniętym mózgiem i z wy-

obrażnią. Małe jednak obycie z poezją, po prostu nieumiejętność czytania, sprawia, że nawet najbardziej dostępne utwory napotyka ją na opór leniwych czytelników. Słyszałem jak pewna rogotą pani śmiejąc się mówiła do swego małżonka: „Patrz, to ma być wiersz — bez rymów“.

Na odwrót — pewien literat dziwił się, że są wiersze o wyraźnych dyscyplinach.

Bywają i takie wypadki, choć trudno uwierzyć.

Szkola przede wszystkim powinna dać nie tylko pewną ilość wiadomości z historii literatury, powinna również nauczyć czytać umiejętnie.

Nauczyciele powinni orientować się dobrze w zagadnieniach współczesnej literatury.

Z drugiej strony redaktorzy powinni unikać siania zamętu przez druk rzeczy bardzo słabych, jak to bywa w dodatkach literackich pism codziennych. W tych dodatkach należy drukować poezje w większych dawkach niż to się robi, ale nie należy drukować utworów lichych, raczej można i należy zastosować skromniejszą, lecz pewniejszą metodę przedruków z poezji nowej, a w pewnych okolicznościach także dawnej. Pod tym względem ambicje niektórych redaktorów dzienników są fałszywe. Oczywiście, popularyzowanie poezji przez świetlice, wieczory poetyckie, radiowe itd., wszystko to dzieje się już i może mieć duże znaczenie.

Miałbym natomiast zastrzeżenia, jeśli chodzi o konkursy poetyckie. Wyniki dotychczas osiągnięte w ten sposób są słabe lub rzemieślniczo-poprawne.

To także jest gatunek formalizmu na wywrót.

Nie przypominam sobie dobrego wiersza konkursowego na przestrzeni dawnej naszej poezji. Pamiętam natomiast bardzo słaby konkursowy wiersz Tetmajera.

Na początku nowego okresu w literaturze, jak o wczesnej porze dnia, kształty są przymglone, zaledwie widnieją zarysy, jest więc rzeczą zrozumiałą, że kryteria literackie nie mogą być dzisiaj tak wyraziste jak bywają w czasach pełni rozwoju nowych form poezji czy prozy. Niemniej stan ten nie powinien doprowadzić do zupełnego zatarcia proporcji i jakichkolwiek kryteriów. Nie powinny ukazywać się oceny literacko - społeczne w rodzaju:

„Poważne zasługi w tej dziedzinie położyli poeci: Broniewski, Tuwim, Charłupski, Staff, Bęcwałczyk i Przybóś“.

A jednak zdania w tym zestawieniu i porządku alfabetycznym zdarzało się nam czytać.

Nie wolno nam również z tęsknoty za wielką powszechną narodową poezją wyrzucić poza łamy naszych pism i poza stronicę książek poetyckich liryki tak zwane „osobiste“. Przepraszam, ale chodzi nam przecież o pełnię humanistyczną. I chodzi nam o to, aby najmłodsza nasza poezja była prawdziwa, ludzka, czemuż więc młodzi poeci nie mają pisać o wszystkim, czym żyją. A tym, czym oni żyją, żyją również robotnicy.

W swoim wstępie do Antologii poezji „Młodej Polski“ przypomina Boy znaną mi odpowiedź redakcji w pozytywnym „Przeglądzie Tygodniowym“:

„Wierszy miłosnych nie drukujemy“. Nasze redakcje, o ile wierzą, nie dają jeszcze takich odpowiedzi, ale uważają lirykę, nie tylko miłosną za rzecz zbędną.

To zrozumiałe, że chcemy faworyzować poezję społeczną, polityczną, aktualną w szerokim znaczeniu. „Kuźnica“ na przykład zawsze dawała pierwszeństwo takim utworom, jeśli tylko były dobrze napisane. Pamiętam jednak o tym, że zarówno Mickiewicz, jak Puszkina lub Heine — uprawiali lirykę „osobistą“, nie tylko poezję publiczną. Powiedziałbym nawet, że nie wierzę w poetę, który jest zawsze i stale Tyrtusem.

Poezja wyrasta z mnóstwa prób i poszukiwań, które często dopiero po latach dają rezultaty. Dlatego sądzę, że należy drukować i wydawać „na wyrost“. Dobrze zrobiła „Książka i Wiedza“ wypuszczając szereg zbiorów poetyckich najmłodszych pisarzy. Mniemam, że należy też inicjatywę powitać z uznaniem, nawet jeśli nie wszystkie te zbiorki będą pełnowartościowe. Powtarzam: tylko z licznych prób i poszukiwań wyrasta poezja.

Ażebym w historii literatury pewnego okresu mogło pozostać kilku poetów, musi pisać legion. Takie jest prawo rozwoju każdego gatunku literackiego.

Każdego miłośnika poezji musi martwić obojętność, jaka otacza wysiłki poetów. Recenzenci niechętnie piszą o poezji, łatwiej im streścić powieść. A przecież są prawdziwi czytelnicy wierszy, słuchacze dający posłuch poetom. W szkołach, w świetlicach, na ławkach uniwersytetów, w ciszy bibliotek publicznych w miastach i na prowincji.

A widziałem także kilka miesięcy temu świeże róże na sarkofagu Słowackiego w krypcie wawelskiej.

Czyja ręka położyła te róże na sarkofagu poety, którego mało kto dzisiaj czyta, lecz który żyje w nas wszystkich?

STEFAN BERGMAN

Literatura marksistowska w Polsce

W lecie 1945 r. i nawet w r. 1946 za-
stawiano się, czy broszurę Le-
nina „Karol Marks” należy dru-
kować w dziesięciu lub dwu-
dziesięciotysięcznym nakładzie. Czy
30-tysięczny nakład broszury
Marksa i Engelsa „O materializmie history-
cznym” nie będzie za duży.

Dziś, tzn. w kwietniu r. 1949, broszury te
mają już za sobą pięć nakładów (20-, 30-,
50-tysięczne) i w druku znajduje się nowy
nakład — 200.000 egzemplarzy.

W latach 1945—7 rozsprzedano w Polsce
30-tysięczny nakład „Krótkiego kursu Histo-
rii WKP(b)”. Dziś, po dwu kolejnych 100-ty-
sięcznych nakładach — w listopadzie 1948 r.
oraz na początku 1949 r. — ukazuje się nowe
wydanie o milionowym nakładzie.

W r. 1947 ukazał się 10-tysięczny nakład
dział wybranych Marksza i Engelsa w dwóch
tomach. Dziś drukuje się nowy nakład —
100.000 egzemplarzy.

Takich przykładów i zestawień można przy-
toczyć mnóstwo.

Bez wątpliwa: zastanawianie się w r. 1945
nad tym, czy 30.000 nakładów tego czy innego
działa klasyków marksizmu nie jest za duży —
świadczy o pewnym braku perspektywy, pewnej
ograniczonej tych, którzy się zastawa-
wali. Ale nie to jest dziś dla nas najważ-
niejsze. Ważne jest to, że ten olbrzymi skok,
olbrzymi wzrost nakładów jest odbiciem re-
alnego zapotrzebowania istniejącego w na-
szym kraju, że pomimo ogromnego wysiłku
wydawniczego w księgarniach odczuwa się
wyraźny brak literatury marksistowskiej, że
wydawnictwo nie nadąża za potrzebami spo-
łeczeństwa.

„I znowu: jest to, niewątpliwie, fakt ujem-
ny, świadczący o istotnych niedociągnięciach
na tym odcinku, o konieczności wzmocnienia
tempa pracy wydawniczej już w najbliższym
czasie. Fakt ten świadczy też o naszej niepo-
rządności, a niekiedy, należy to stwierdzić,
o tym, żeśmy się nie zupełnie wyżyli tego
braku perspektyw, na który chorowaliśmy
w latach 1945—7.

Ale jednocześnie fakt ogromnego wzrostu
zapotrzebowania na literaturę marksistowską
przysparza nam też wiele radości, gdyż obok
szeregu innych analogicznych faktów od-
zwierciedla on te wielkie zmiany, które się
dokonały w Polsce w ostatnim okresie.

W latach 1918—1939, drukowane pod usta-
wicznym, coraz bardziej wznagającym się
terrorem politycznym lub przemycane z za-
granicznych terenów, a w końcu czytane w
kółkach robotniczych, w celach więziennych
(rzecz jasna, przed erą Berez), czytały nie-
wielkie odłamy młodzieży akademickiej, niel-
iczne grupy inteligencji pracującej. Ale dla
większości społeczeństwa szczytowy dorobek
wiedzy ludzkiej, marksizm-leninizm pozostawał
owocem zakazanym, potępianym, w naj-
lepszym wypadku — nieznanym.

Dziś literaturę marksistowską w Polsce
czytają setki tysięcy ludzi. Jutro będą ją czy-
tać miliony. I to jest zjawisko zupełnie na-
turalne. Nowy ustrój społeczny w Polsce bu-
dują ludzie, masy. A budować nie mając
świadomości tego, jaka ma być wznoszona
budowla, nie znając teorii budownictwa, nie-
podobna. Nowy ustrój buduje się w walce z
siłami wstecznicztwa, w walce z siłami dążą-
cym; do tego, żeby na nowo pograć świat
w odmęty zawieruchy wojennej. Potężnym
orężem w walce mas ludowych z tymi siłami
teoria, która uczy budować nowy ustrój
sprawiedliwości społecznej, jest marksizm-
leninizm. I dlatego właśnie pęd mas ludo-
wych, które dziś są w Polsce gospodarzami
kraju i same rządzą swoim losem, pęd tych
mas do przyswojenia sobie zasad marksizmu-
leninizmu nie jest czymś sztucznym, prze-
mijającym, lecz koniecznością uwarunkowaną
przez przemiany społeczno-polityczne, które
się dokonały w naszym kraju.

Co już zrobiono i co się robi w dziedzinie
wydania dzieł klasyków marksizmu-leniniz-
mu?

W serii „Biblioteka klasyków marksizmu-
leninizmu” wydawanej od r. 1945 przez
„Książkę i Wiedzę” a dziś przez połączone wydawnic-
two „Książka i Wiedza”, dotychczas ukazały
się następujące dzieła:

Karol Marks i Fryderyk Engels

Manifest komunistyczny
O materializmie dialektycznym i history-
cznym
Dzieła wybrane w dwóch tomach
Wybór pism filozoficznych z lat 1844—1846
(w druku)

Karol Marks

Walki klasowe we Francji
18 brumaire'a Ludwika Bonaparte
Wojna domowa we Francji
Praca najemna i kapitał
Płaca, cena i zysk
Nedza filozofii

Fryderyk Engels

Rozwój socjalizmu od utopii do nauki,
Pochodzenie rodziny, własności prywatnej
i państwa

Ludwik Feuerbach
Zasady komunizmu
Anty-Dühring
W kwestii mieszkaniowej (w druku)

W. I. Lenin

Co robić?
Dwie taktyki socjaldemokracji w rewolu-
cji demokratycznej
Imperializm jako najwyższe stadium kapi-
talizmu
Dziecięca choroba „lewicowości” w komu-
nizmie
O związkach zawodowych (zbiór)
Ekonomia i polityka w epoce dyktatury
proletariatu (zbiór)
Marks, Engels, marksizm (zbiór)
Rewolucja proletariacka a renegat Kautsky

J. Stalin

Zagadnienia leninizmu
O podstawach leninizmu
O materializmie dialektycznym i history-
cznym
Marksizm a kwestia narodowo-kolonialna

Przeważną część wymienionych dzieł ma
już za sobą po 4—6 nakładów i obecnie wszy-
stkie są drukowane w nakładzie od 150 do
250 tysięcy egzemplarzy. W roku bieżącym
rozpoczyna się wydawanie dzieł zbiorowych
Lenina i Stalina. Wydanie dzieł Stalina jest
obliczone na trzy lata, Lenina — na pięć
lat. W końcu br. mają się ukazać 3 tomy
dzieł Lenina i 2 tomy dzieł Stalina. Jako
pierwszy będzie wydany tom zawierający
epokowe dzieło Lenina — „Materializm a
empiriokrytycyzm”. Całe to przedsięwzięcie
— ze względu na niedostateczną ilość odpo-
wiednich kadr — nastęca olbrzymie trud-
ności i wymaga mobilizacji wszystkich sił
mogących w tej pracy pomóc.

Niezależnie od wydania dzieł zbiorowych
przystąpiono do tłumaczenia „Zeszytów filo-
zoficznych” Lenina, które się ukazały pod ko-
niec br. lub na początku r. 1950.

Szczególne trudności nastęca wydanie
„Kapitału” Karola Marksa. Z różnych stron
padają całkiem uzasadnione zarzuty i żąda-
nie o rychlejszego wydania tego podstawo-
wego dzieła socjalizmu naukowego. Praca
przygotowawcza w tej dziedzinie trwa już od
dłuższego czasu. W tej chwili jest jeszcze
przedwczesne mówić o określonych termi-
nach. Spodziewane jest ukazanie się I tomu
w pierwszej połowie r. 1950.

Zarówno przy pracy nad tłumaczeniem
dzieł Lenina i Stalina, jak i przy tłumaczeniu
„Kapitału” tworzy się kartotekę terminolo-
giczną, co z biegiem czasu da podstawę do
ulożenia polskiego słownika terminologicz-
nego.

ZYGMUNT RADEK

GALLERY

Czy zawsze śnić się będą nam straszeni więźniowie
Za czarnymi prętami widoczni w polowie?
Ten antykwariat tortur, lochy Monte Christo,
Czarne katoggi pełne komunistów,
Rysy grube i twarze suche jak pampasy,
Cyrk katorżników, trykoty w pasy,
Mury na okół, mury, mury,
Mury rosną ceglami wprost i do góry,
Kraty pręty, sztaby i kraty na których się waży
Mleczenie straży...

Człowieku! Jeśli jesteś z fabryki mięsnych przetworów
I z hali konserw, która rozgniała swą pastę
Nakreśli nam maszynę tamtego wieczoru
Gdy sierp z młotem powiewał na płacicie ceglastej.
Opiera twarz o pręty i oczy zamyka,
Widzi mieszkanie swoje poprzez zakopconą szybę.
Na imię ma Agnieszka, Róża lub Monika.
Ta matka pięknych dzieci to jest republika.

Niech przy Murzynach chrapie oberżysta z Kuby,
Bo w towarzystwie burżuj trafia się czasami.
Niech do Odessy tęskni matros gruby.
Mur pomarańczowymi tęczęmi pluskwami.
Nie grymas! W miase cichnie śledź dziegiem czerwonym
I słowa na spacerze krótkim zasłyszane
...ta wieczna zadrość świata...

Spalona cygaretką, dzień co sponął wczoraj,
Dowidzenia lub żegnaj — jest już późna pora.
Karabinierzy! Oczekujcie brzasku...
Wytorny wasz porucznik zbłądł niby kometa.
Tak! I chcę widzieć wszystko, cień szabli na piasku.
Piłton ognia... To temat wdzięczny dla Maneta
Ale czy warto nadal poruszać sumienia
Gdy Chrystusów odbija się na polikopii?
Jest workiem miłosierdzia, służy do siedzenia.
To sioma, gdzie się chrapie w imię filantropii!

Dosyć! Przewróć w ulicy jaki gruchot stary,
Jaką maszynę Forda zdartą nie do wiary.
Porzuć wieczne transporty butwiejących jarzyn.

I wysunąwszy z okna łufę automatu
Wypowiedz się otwarcie zacisnąwszy dłońie
Na broni mechanicznej, która ogniem zionie.

go marksistowskiej ekonomii politycznej, jak
i w ogóle teorii marksizmu-leninizmu. Wobec
zachwaszenia naszej literatury naukowej
antymarksistowską terminologią idealistycz-
ną, a często w ogóle braku ustalonej termi-
nologii, sprawa ta nabiera szczególnej wagi.

Wydanie dzieł zbiorowych klasyków mark-
sizmu-leninizmu posiada dla naszych insty-
tucji wydawniczych jeszcze jeden aspekt:
wszystkie dotychczasowe polskie przekłady
poszczególnych utworów dzieł Marksza, En-
gelsa, Lenina i Stalina mają bardzo istotne
usterki językowe, stylistyczne, a niekiedy też
merytoryczne. Przekłady, starannie przygo-
towane do zbiorowego wydania, będą słu-
żyły jako podstawa dla późniejszych wydań
poszczególnych utworów.

„Książka i Wiedza” zapoczątkowała ostat-
nie wydanie „Małej biblioteczki marksizmu-
leninizmu” składającej się z 18 broszur i ksią-
zek. 150.000 takich biblioteczek (każda w
trwałym estetycznym pudełku) zostanie od-
danych do rąk czytelników w lipcu—sierpniu
bieżącego roku. Rozprowadzenie 150.000 ta-
kich biblioteczek wśród szerokiej mas robot-
ników, chłopów i inteligencji bezsprzecznie
będzie miało duże znaczenie.

Pod podobną nazwą („Mała biblioteczka
marksizmu-leninizmu”) — materiały do stu-
diowania Historii WKP(b) przystąpiono do
wydawania w małych taniach zeszytach pos-
zczególnych artykułów i urywków z dzieł
Lenina i Stalina, dotyczących poszczególnych
rozdziałów Historii WKP(b). Dotychczas ukaza-
ły się trzy zeszyty (1. Materiały wstępne,
2. Lenin — O rewolucji 1905 r., 3. Stalin —
Klasa proletariatu i partia proletariatu).
Do końca br. ma się ukazać 25 zeszytów z tej
serii. Każdy jest zaopatrzony w większą ilość
objaśniających przypisów redakcyjnych.

W końcu lata br. ukaze się 100-tysięczny
nakład wybranych dzieł Lenina w dwóch to-
mach.

Ilość literatury marksistowskiej znajdują-
cej się obecnie w druku jest, jak na nasze
dotychczasowe pojęcia, ogromna. Do końca
br. ma się ukazać około 45 tytułów o łą-
cznym nakładzie około 5 milionów egzempla-
rzy.

W serii „Biblioteka socjalizmu naukowego”
ukazały się dotychczas następujące dzieła:

J. Plechanow

Podstawowe zagadnienie marksizmu
O roli jednostki w historii
O materialistycznym pojmowaniu dziejów
Przyczynki do zagadnienia rozwoju moni-
stycznego pojmowania dziejów

J. STALIN

O PODSTAWACH LENINIZMU

WYKŁADY WYGŁOSZONE NA UNIWERSYTECIE
IM. SWIERDŁOWA NA POČĄTKU KWIEŚNIA
1924 ROKU



„KSIĄŻKA I WIEDZA”

Warszawa 1949

Polskie wydanie pracy Stalina „O podstawach
leninizmu” — w 25-lecie wygłoszenia wy-
kładów na uniwersytecie im. Swierdłowa
(kwiecień r. 1924). Książka ukazała się w na-
kładzie 100 tysięcy egzemplarzy, wydana
przez Sp. Wyd. „Książka i Wiedza”.

K. Kautsky

Nauki ekonomiczne Karola Marksa
Tomasz More
Poprzednicy współczesnego socjalizmu (w
druku)
Pochodzenie chrześcijaństwa (w przygo-
towaniu)

Z innych większych dzieł, które mają się
ukazać w bieżącym roku, warto jeszcze wy-
mienić tu następujące:

Cornforth — Nauka przeciw idealizmowi
(praca angielskiego filozofa-marksisty skiero-
wana przeciw „najnowszemu” teorii neopo-
zytywistycznym).

Mehring — Karol Marks. Historia jego ży-
cia.

Lissagoray — Historia Komuny.

Do największych odbiorców literatury
marksistowskiej należy młodzież akademicka
oraz słuchacze różnych kursów robotniczych
i chłopskich.

Odbiorcą literatury marksistowskiej staje
się nie tylko miasto, lecz także i wieś. Nie
rozporządzamy, niestety, danymi statystycz-
nymi obrazującymi to przenikanie literatury
marksistowskiej na wieś. Zebranie takich da-
nych byłoby bardzo ciekawe i pouczające.

Nowi czytelnicy zarówno w mieście jak na
wsi wysuwają zupełnie uzasadnione żądanie:
wydane dzieła klasyków zawierają zbyt
mało objaśnień redakcyjnych. Ogromna rze-
sza nowych czytelników nie ma za sobą w
większości wypadków ani szkół, ani tym bar-
dziej studiów wyższych, i napotykanie w
książkach obce wyrazy, aluzje historyczne,
terminy itp. nastęcają poważne trudności
w czytaniu.

Rzecz jasna: nasza literatura przeznaczona
dla szerokiej mas winna zawierać większą
niż dotychczas ilość przypisów. Ale to nie
rozwiązuje zagadnienia. W miarę rozpow-
szczenia oświaty i wiedzy w kraju sprawa
ta będzie traciła na ostrości. Na razie
jednak należy szukać innych środków zarad-
czych. W tej dziedzinie duże znaczenie po-
siadałoby wydanie słownika politycznego.
Rok czy półtora temu praca nad przygo-
towaniem takiego słownika do druku szła całą
parą l., raptem wszystko się uspokoiło, pra-
ca zamarła. Dlaczego? Może odpowiednie
czynniki zainteresują się tą sprawą i ruszą
ją z miejsca.

Nie mniej konieczne jest podjęcie kroków
celem przygotowania do druku i wydania
„Słownika filozoficznego”.

Wydanie obu tych słowników należy trak-
tować jako sprawę palącą. Powoływanie się
na jakiegokolwiek trudności i przeszkody w
żadnej mierze nie może usprawiedliwić od-
różnienia tych prac.

Kończąc ten krótki przegląd naszego do-
robku musimy zwrócić uwagę na najslabszą
stronę naszej działalności wydawniczej: na-
der niedostateczną ilość oryginalnych pol-
skich prac popularyzatorskich. W tej dziedzi-
nie, poza kilkoma pozycjami Adama Schaffa
i broszurą Tepichta, prawie że nic wymieni-
ć się nie da. Popularyzacja zagadnień teorii
marksizmu jest bardzo potrzebna. Polska ma
pod tym względem niezłe tradycje, że wspom-
nimy tylko pracę Szymona Dikszajna (Jana
Młota) „Kto z czego żyje”, przetłumaczoną
na wiele języków i znaną w różnych krań-
cach świata. Muszą u nas tym bardziej dzie-
ła znaleźć się ludzie, którzy potrafią w nowych
warunkach ułatwić masom przyswojenie
wielkich idei Marksza, Engelsa, Lenina i Sta-
lina.

Stefan Bergman

PARYŻ

E C H A K O N

ILIA ERENBURG

Przełożyła ZOFIA ŁAPICKA

P o k ó j ś w i a t u *)

CHOĆ NIE wszyscy mówią o tym, z której strony pokojowi zagraża niebezpieczeństwo, wszyscy doskonale zdają sobie z tego sprawę. W półoficjalnym „Monde” czytalem elegijny artykuł o tym, że Amerykanie i Europejczycy mają na sprawę wojny dwa punkty widzenia. Autor pisze: „Dla Amerykanów najważniejszą rzeczą jest wojnę wygrać, jeśli nie można jej uniknąć. Dla Europejczyka natomiast sprawą najważniejszą jest do wojny nie dopuścić”.

Choć nie wszyscy mówią o tym, z której strony pokojowi zagraża niebezpieczeństwo, wszyscy doskonale zdają sobie z tego sprawę. W półoficjalnym „Monde” czytalem elegijny artykuł o tym, że Amerykanie i Europejczycy mają na sprawę wojny dwa punkty widzenia. Autor pisze: „Dla Amerykanów najważniejszą rzeczą jest wojnę wygrać, jeśli nie można jej uniknąć. Dla Europejczyka natomiast sprawą najważniejszą jest do wojny nie dopuścić”.

Chciałbym obronić w oczach autora artykułu uczelnych Amerykanów; dla garstki drapieżców amerykańskich sprawą zasadniczą jest wywołać wojnę; dla ludów jednakże Europy i Ameryki najważniejszym jest nie dopuścić do wojny.

Dla narodów wojna to łyż i krew, to wdowy i bezdomni, to zburzone miasta, stracona młodość i zbezczeszczone starość, to pustynia w miejscu, gdzie żyła, rosła i kwitła Europa. Ale dla drapieżców amerykańskich wojna oznacza zamówienia, dostawy, bilanse i dywidendy. Umieją oni destylować krew, by otrzymać złoto i przeliczać cyfrę zabitych na cyfrę dochodu.

Publicznie mówią o czymś innym. Mają za wodowych i przysięgłych kłamców. Kto twierdził, że tanki rosyjskie idą na Teheran, a kto pojawił się nagle i niepostrzeżenie w Iranie? Kto mówił, że Związek Radziecki chce przyłączyć duńską wyspę Bornholm, a kto cichaczem przywłaszczył sobie Grenlandię? Kto oburzał się, że „Czerwoni” wtrącają się w sprawy Grecji, a kto gospodaruje teraz w Atenach?

Panowie ci zapewniają, że pakt ich jest czymś pośrednim pomiędzy klubem gołębiarzy i kółkiem literackim, zajmującym się sprawami człowieka.

Panowie ci są, widzicie, „zjednoczeni” wspólnymi ideami. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że jest wśród nich Salazar, który rządzi Portugalią w myśl „świętych zasad” duce i Hitlera.

Wspominam bombardowany Madryt, krew Garcia Lorca, ostatnią drogę Antonio Machado i pewny jestem, że w ciągu najbliższych dni przyjęty zostanie do klubu superdemokratów północno-atlantycznych czołowy „humanista” generał Franco.

Panowie ci mówią o równości ras, a obławiają Murzynów benzyną, bronią niepodległości narodów, ale wyznaczają i utrągają rządy dwudziestu republik. „Wykarczowali” faszystów, ale tworzą dyktatorów z byłych SS-owców. Mówią o zasadach wolności, lecz zamykają drzwi przed poetami Francji. Sądzą hitlerowców za przygotowanie napaści na Związek Radziecki, a jednocześnie szykują nową napaść.

Ludzie przygotowujący nową wojnę chętnie mówią o kulturze. Według ich słów, muszą oni bronić „kultury zachodniej” przed Wschodem. Jest to oczywisty plagiat, i gdyby żył Goebbels, mógłby wnieść skargę o naruszenie praw autorskich, przez „atlantycy” wirtuozów.

Kto właściwie reprezentuje „kulturę zachodnią”? Ku-Klux-Klan z Alabamy, Turcy Jalczyn, Iza Koch, samuraje japońscy, handlarze niewolników z Johannesburga, król Abdullah, monarchijscy przyjaciele Hitlera, potężni negocjanci z Seulu, Czang-Kai-Szek, Mr. Parnell Thomas i naturalnie pan Wiktor Krawczenko.

Przed kim to wyżej wymienieni „dżentelmeni” muszą bronić „kultury zachodniej”? Przed Wschodem. A Wschód to: Aragon, Pablo Neruda, ks. Boulier, Haldane, robotnicy przedmieść Paryża, mer Florencji, Howard Fast, Picasso, Tomasz Mann i Joliot-Curie.

Najwięcej gardlują w obronie „kultury zachodniej” różni amerykańscy gorliwcy. Mogą oni dyskutować co pozostanie z Louvre'u po zrzuconiu bomby atomowej, mogą marzyć o kupieniu go, ale nie rozumieją nigdy sensu tego, co się w nim mieści. Do tego jeszcze nie dorosli. Niech lepiej postoją z odkrytymi głowami przed Akropolem, Kapitołem, przed soborem Św. Zofii w Kijowie i przed Chartres. Kultura to nie tort weselny, kultury nie można pokrajać w kawalki. Można głosić, że Włochy są krajem atlantycznym, ale nie można twierdzić, że członkowie „Komisji dla badania antyamerykańskiej działalności” są przedstawicielami kultury czy to zachodniej czy wschodniej, północnej czy południowej.

Zródła naszej cywilizacji sięgają Grecji starożytnej. Poprzez starożytny Rzym trafiły do Włoch, a poprzez Bizancjum, do Rosji. Włochy dały światu Cimabuego i Giotto, a Rosja Andrzeja Rublewa. Świato-

wa kultura to nie jest Berlin — nie da się podzielić na strefy.

Każdy naród wniósł swój udział do skarbcza kultury ogólnoludzkiej. Leonardo da Vinci i Dante, Balzac i Corot, Cervantes i Goya, Szekspir i Dickens, Beethoven i Goethe, związani byli z ziemią, która ich zrodziła, ale rozszerzyli i wzbogacili świadomość całej ludzkości. Jak bardzo uboga wyda się nam europejska kultura, jeśli wyłączymy z niej rosyjską powieść, która wstrząsnęła sumieniem świata, muzykę rosyjską, prace rosyjskich uczonych i to odkrycie nowego świata, którego w r. 1917 dokonał naród rosyjski.

Często toczą się spory na temat, kto jest właściwie wynalazcą; zdarzało się nieraz, że uczeni w różnych krajach jednocześnie głosili się nad tym samym zagadnieniem, ale wątpię czy ktoś odważy się zaprzeczyć pierwszeństwa Rosji w dziele budowy socjalizmu. Komu jest droga europejska kultura, temu również drogę są jej rysy narodowe, właściwie geniuszowi każdego narodu. A więc głęboko realistyczna satyra Cerwantesa, ostra ironia Swifta, wesole kpiarstwo Moliere'a i śmiech przez łyż Gogola reprezentują swoiste cechy narodowe w kulturze światowej.

Niektórzy doktrynerzy w Stanach Zjednoczonych lubią wychwalać „amerykański sposób życia”. Cóż, jeśli wystarczają im drug-story, gangsterskie filmy i „komisja” dla badania antyamerykańskiej działalności — to ich sprawa. Gorzej jednak z czym innym: dolar uderzył im do głowy i już na prawdę uważają, że kino na Broadwayu ładniejsze jest od Akropolisu i że „Reader digest” lepsze jest od powieści Lwa Tołstoja. Chcą zatrzeć różnicowane oblicze świata swoim amerykańskim standardem. Ludzi Europy są dla nich rekrutami, których w odpowiednim momencie strzyże się i wciela do wojska.

Nie ma nic wstydliwego nad rasową lub narodową pychę. Kultura światowa posiada swój system krwionośny, którego arterii nie wolno bezkarnie przecinać. Narody uczyły się i będą się uczyć jedne od drugich. Uważam, że można szanować pewne właściwości narodowe, odrzucając jednocześnie wszelki narodowy partykularizm. Prawdziwy patriot kocha ludzkość i prawdziwy internacjonalista kocha swój naród.

Ludzie Stalingradu ginęli za swoją wioskę rodzinną, za pieśń zasłyszaną w dzieciństwie, za lud rodziciel, a jednocześnie ginęli za wszystkie wsie Europy, za pieśń wszystkich ludów i za lud całego świata. Ci, którzy zajmują się „Stanami Zjednoczonymi Europy” nie poszerzają swych duchowych horyzontów, lecz zwiężają je. Prawda, że zagadają się oni obalić stopy graniczne pomiędzy Luksemburgiem i Belgią, lecz wzmian za to zmuszają te kraje do wykopania przepaści między sobą a pięciuset milionami ludzi, zrywającymi, pracującymi i tworzącymi nowy świat.

Był czas, gdy Francja kroczyła na czele ludzkości. Wolnościcieli rosyjskich nazywano wówczas „woluterianami” i „jakobinami”. Byli oni prawdziwymi patriotami rosyjskimi i pragnęli szczęścia swego kraju. Sądzę, że Francuzi, Polacy, Włosi, Czesi i robotnicy innych krajów, które czerpiły natchnienie z doświadczeń ludu radzieckiego pozostają dobrymi patriotami. Nie dzielimy kultury na wschodnią i zachodnią. Dzielimy świat na budowniczych kultury i na wandalów, na twórców i pasożytnów, na żywych ludzi i żywe trupy. Gdy używam słowa „my”, nie zamykam się w granicach mojego państwa, bo z nami są najlepsi obywatele świata.

Gdy opublikowano tekst ostatniego paktu wojennego, apologety jego oświadczyli z zadowoleniem: „rozłam świata stał się teraz faktem”. Tak, rozłam ten jest rzeczywiste faktem, lecz idzie nie po tej linii, którą wyznaczyli twórcy paktu atlantycznego. Rozłam nastąpił pomiędzy ludźmi przeszłości i przyszłości, pomiędzy dolarem i sumieniem, pomiędzy bombą atomową a prawdziwym humanizmem, pomiędzy rydłem grabarza i ogrodnika. Kongres nasz jest najlepszą odpowiedzią tym, którzy chcieli rozbić świat na „wschodni” i „zachodni”.

Pragnę raz jeszcze przypomnieć, że kultura nie jest renta. Nie można żyć tylko wspomnieniami przeszłości lub w kręgu jej pamiątek. Kultura nie poparta pracą, porywem, natchnieniem — obumiera. Na tle renesansowego pałacu w Norymberdze pojawia się zabobonny maniak i zarumiały krzykacz, który swoje nieuctwo pokrywa cytatami z Dantego. Sądzę, że największym naszym wkładem w światową kulturę jest fakt, że nie tylko pielęgnujemy, ale i tworzymy, że w Związku Radzieckim kultura nie jest udziałem i dziełem nielicznych, lecz stanowi własność całego narodu.

Zwyciężyliśmy faszystom dlatego, że naród nasz jest dzielny, że pastuch wziął w ręce globus, a kopacz badał ruchy ciał niebieskich. Posiadamy broń silniejszą od wszystkich bomb atomowych — tą bronią jest świadomość ludzka.

Pokój opłaciłmy krwawo i ozuwamy nad nim. Bronimy go nie dlatego, że jesteśmy stabi, ale dlatego, że milujemy pokój, a milujemy pokój dlatego właśnie, że jesteśmy silni. Odbudowujemy Stalingrad, sadzimy lasy walcząc z suszą, walczymy z chorobami

i nie hodujemy mikrobów dżumy. Piszemy książki i wiemy, że dzieci nasze wejdą do słonecznych ogrodów przyszłości. Wierzymy w przyszłość i dlatego nie myślimy o zatonięciu świata we krwi, lecz o nawodnieniu pustyni i ogrzaniu tundry.

Znana jest stara przypowieść o sędzieu Salomonowym. Do króla przyszły dwie kobiety, które udawały tylko matkę poradziła sędziemu: „Rozrab dziecko na dwie części”. Mówiła to dlatego, że to nie było jej dziecko. Barbarzyńcy zamysliwszy teraz o wojnie gotowi są uśmiercić przyszłość ludzkości, ponieważ przyszłość ta nie do nich należy. Bój się upływającego czasu, bo czas obraca się przeciwko nim. Nienawidzą życia, bo sprzyja ono trudzącym się ludziami, a nie garstce awanturników. Chcą wojny dlatego, że są skazani na zagładę, dlatego, że cała ich filozofia, estetyka, ekonomika sprowadzają się do jednego: do bomby atomowej.

Gdy toczyła się zacięta walka o kulturę, o człowieka, o humanistyczne treści życia, my staliśmy na jej czele. Nie liczyliśmy naszych ofiar. Nie ma i nie będzie takiej wagi, na której szalach z jednej strony można położyć ludzkie życie, a z drugiej zwitek dolarów. Nie ma i nie może być ludu, który położyłby znak równości pomiędzy słowami „Stalingrad” a „land-lease”. Teraz toczy się walka o pokój i dumni jesteśmy z tego, że znów kroczymy na jej czele.

Wspomnę jeszcze tutaj „święte kamienie Europy”. Mówię to w mieście, które jest kochane przez ludzkość, w mieście wielkich pisarzy, wielkich artystów, w mieście wielu rewolucji, w stolicy wesołego, śmiałego i utalentowanego narodu, tym zadziwiającym ulu europejskiej kultury. Pewien plugawy dziennik zwrócił się niedawno do licznych osobistości z pytaniem, co by uczyniły, gdyby Armia Czerwona zajęła Francję. Francuzi wiedzą cośmy uczynili dla wyzwolenia Francji. Francuzi wiedzą także, że nie ma w nas i być nie może uczucia nieprzyjaźni dla francuskiego narodu. Zamiast czołgów, którymi straszy czytelników szmatławiec, zja-

wiliśmy się w Paryżu my, ludzie radzieccy, uczeni i robotnicy, kompozytor Szostakowicz i pisarz Fadlejew. Przybyliśmy po to, by powiedzieć przyjacielom francuskim: „Bronimy pokoju, bronimy Francji przed okropnościami przyszłej masakry”.

Spotkaliśmy się tu i z angielskimi przyjaciółmi. Głęboko cenimy Wasz naród, jego tradycje, wytrwałość i pracowitość. Pamiętam Londyn i Coventry. Wy na pewno pamiętacie Leningrad. Możemy uchronić się przed nowymi, strasznymi doświadczeniami.

Są tu również przedstawiciele Ameryki. Nigdy, powtarzam, nigdy nie będziemy uważali garstki amerykańskich awanturników za naród amerykański. Pamiętajcie jednak: nie tracicie ani chwili! Są u was ludzie ognieci strachem, a strach odbiera człowiekowi rozum. Życie Ameryki i jej przyszłość postawione zostały na kartę. Nie możecie i nie powinniście stać się nowymi Niemcami. Mieszkanie daleko od Europy i macie swój własny, odrębny sposób życia. Niektóre rzeczy mogą się nam u was podobać, a inne znów nie. Nie chcemy jednak rozwiązywać naszych sporów przy pomocy oręża. Nie chcemy przekonywać o naszej racji poprzez ruiny miast.

Zebrałmy się tu i apelujemy do przedstawicieli wszystkich europejskich narodów, by uchroniły od zagłady nasz wspólny dom i ocaliły naszą wielką kulturę! Zwracamy się z tym apelem nie tylko do tych, którzy są z nami jednej myśli, ale do wszystkich ludzi dobrej woli najrozmaitszych przekonań. Przybyliśmy tu nie po to, by mówić wszystkim o słuszności naszej idei lub o lepszym ustroju naszego społeczeństwa. Wolimy udowodnić to raczej pracą, twórczością i rozwojem państwa radzieckiego. Przybyliśmy tu by podać rękę tym wszystkim, którzy rzeczywistnie nienawidzą wojny. Jest tych ludzi, bardzo wielu, jest ich tak wielu, że trudno ich policzyć. Jako pisarz radziecki, przedstawiciel narodu, będącego przedmiotem oszczerstw wszystkich wrogów ludzkości, zakończę słowami, które każdy z nas nosi w sercu: Pokój światu!

PIETRO NENNI

Braterska dłoń wyciągnięta do

JESTEM jednym z członków delegacji włoskiej, biorącej udział w obradach niniejszego kongresu i reprezentującej robotników, chłopów i inteligencję. Reprezentujemy tych, którzy prowadzą i nadal będą prowadzić ostrą walkę przeciwko przekształceniu naszego kraju w pole bitwy, w bastion, w ośrodek kapitalistycznego imperializmu.

Musimy skonstatować przede wszystkim, że istniejąca na świecie partia trzeciej wojny światowej osiągnęła spore rezultaty pchając niektóre kraje na drogę polityki rozbięcia jedności Europy i świata, polityki, której bronią jest pakt atlantyczny, podpisany w Waszyngtonie. Jeżeli wojna, zanim zmieni się w czysto wojenną agresję, jest polityką, to należy stwierdzić, że trzecia wojna światowa posiada już swoją polityczny sztab generalny. W osobie prezydenta Trumana ma strażnika, a w osobie Churchilla swego proroka. Ideologicznym sojusznikiem wojny jest wojujący klerykalizm. Nienawiść i strach przed socjalizmem i radziecką rewolucją cechuje naszą epokę. Taką samą nienawiść i strach wywołały w wieku ubiegłym liberalizm i rewolucja francuska.

Nie tylko delegaci obecni na Kongresie, ale również wszystkie narody świata dzwija się, że tak szybko doszło do obecnej sytuacji. Przecież dopiero cztery lata minęło od chwili pełnej chwały i nadziei, gdy żołnierze amerykańscy i radzieccy podali sobie ręce przy bramie brandenburskiej w Berlinie, na gruzach byłej kancelarii Trzeciej Rzeszy. Gest ten był świadectwem przyjaźni i braterstwa, wyrazem wspólnej woli zbudowania nowego świata na fundamentach ugruntuwanego, długotrwałego pokoju i na zasadach sprawiedliwości społecznej. Sytuacja obecna nie odbiera nam jednak odwagi. Nie jesteśmy kongresem biernych pacyfistów.

Na Kongresie tym zebrał się ludzie zdecydowani na to, by wykorzystać wszystkie swe możliwości w walce o pokój. Kongres nasz nie zmusza narodów do wyboru między Związkiem Radzieckim a Ameryką, między bombą atomową i dążeniami klas, skazanych przez historię na zagładę, a Armią Czerwoną, która sama w sobie jest siłą postępu, podobną do armii rewolucji francuskiej. Wybór taki oznaczałby, że jesteśmy w stanie wojny i że oceniamy walkę o pokój jako przegraną. Kongres nasz proponuje narodom świata wybór pomiędzy polityką pokoju i bezpieczeństwa zbiorowego, a polityką wojny i kłamliwego bezpieczeństwa, polityką wyścigu zbrojeń, którą reprezentują ludzie i rządy, biorące udział w pakcie atlantycznym. U podstaw jednak obecnego kryzysu światowego leży systematyczna działalność ludzi chcących za wszelką cenę doprowadzić do umowy jaltńskiej i poczdamskiej oraz Organizację Narodów Zjednoczonych, która, nie bacząc na wszystkie błą-

dy i braki, była i jest nadal wyrazem starania o utrzymanie pokoju i współpracy pomiędzy narodami.

Mówi się, że już od czasów Jalt i Poczdamu świat został podzielony na dwie sfery wpływów, ale tak nie jest. Dziś umowy w Jalt i w Poczdami robią wrażenie kompromisowych umów pomiędzy dwoma światami, dwoma systemami politycznymi i społecznymi, które postanowiły liczyć się z sytuacją, wytworzoną w rezultacie antyfaszystowskiej wojny i pracować nad stworzeniem i umocnieniem więzi pomiędzy wszystkimi narodami. Karta, zatwierdzona w San-Francisco i utworzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, były pierwszymi krokami na drodze do zaniechania wojny i budowy pokoju, krokiem do rekonstrukcji Europy i całego świata.

Przy całej swej niedoskonałości Organizacja Narodów Zjednoczonych, reprezentowała jednak i nadal reprezentuje (nie bacząc na jej obecny kryzys) pewną możliwość zorganizowania życia państw i narodów bez uzależniania narodów małych od dużych. Należało więc rozwijać poczucie solidarności międzynarodowej, a w szczególności umacniać Radę Ekonomiczną i Społeczną, przewidzianą Kartą Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Od r. 1947 jednakże wszystkie wysiłki, zmierzające do zorganizowania życia politycznego i gospodarczego w ramach ONZ, były świadomo sabotowane. Ten ciągły sabotaż uprawiano od stycznia 1947 r. w tym celu, by doprowadzić do obecnej sytuacji i dać powód do twierdzenia, że wszystkie organizacje gospodarcze stworzone w ramach ONZ nie dawały efektywnych skutków, by doprowadzić do obecnej polityki podziału Europy i świata, polityki podporządkowania Europy Zachodniej interesom Stanów Zjednoczonych.

Jesteśmy świadkami tego, jak prowadzono ciągłą walkę podjazdową przeciwko Organizacji Narodów Zjednoczonych przed utworzeniem paktu atlantycznego.

Już w marcu 1947 r. zrozumieliśmy i zdemaskowali istotę doktryny Trumana, który starał się zniszczyć porozumienie osiągnięte nacyfchmiast po wojnie i zwycięstwie. Stany Zjednoczone przyjęły doktrynę Trumana i odrzuciły starą doktrynę Monroe'go, która miała swe źródło w amerykańskiej opozycji przeciwko Świętemu Przymierzu i której podstawowym żądaniem było, by Europa nie ingerowała w sprawy Ameryki.

Plan Marshalla był logicznym skutkiem doktryny trumanowskiej. Plan ten nie jest narzędem odbudowy i zjednoczenia Europy i całego świata, przeciwnie, powoduje on rozłam i podporządkowuje Europę Zachodnią interesom kapitalizmu amerykańskiego.

Plan Marshalla zniweczył wszystkie usiłowania skutecznego rozwiązania niektórych

*) Z przemówienia wygłoszonego na Kongresie Paryskim.

G R E S O W E

NEW YORK

JOHN HOWARD LAWSON

Przełożyła ALICJA IWANŃSKA

Zimna wojna i film amerykański¹⁾

W IADOMO powszechnie i nie warto nawet specjalnie tego podkreślać, że jakość filmu amerykańskiego obniżyła się w ciągu ostatnich dwóch lat. Uważa badacz zdaje sobie z tego sprawę, że rozkład ten jest jedną z ekonomicznych i moralnych konsekwencji dążenia kierowniczych kół USA do wojny, czemu towarzyszy kontrola myśli i przymuszanie do ortodoksji politycznej.

Nie ma potrzeby pozostawiania filmu w rękach wrogów życia i piękna. Istota filmu jako formy masowego porozumiewania się, jako sztuki ludowej, sprawia, że specjalnie trudno jest go użyć dla reakcyjnej propagandy. Hitlerowcy musieli najpierw zniszczyć istniejący niemiecki film, aby tę dziedzinę wykorzystać dla swoich nieludzkich celów. Obecny kryzys w przemyśle filmowym amerykańskim ujawnia kształt i głębłą sprzeczność pomiędzy estetyczną funkcją filmu i celem nadużywanym go dla celów propagandy wojennej. Walka o demokratyczną kulturę filmową nie jest przegrana — i nie musi być przegrana, ponieważ jest to walka o myśl i serce narodu amerykańskiego.

Poważna analiza filmu jako tak zwanej sztuki komercyjnej wkracza w trudne problemy teorii kultury. Jest wiele definicji sztuki. T. S. Eliot pisał ostatnio, że pełna i jednolita kultura możliwa jest tylko wówczas, gdy dziedzictwo myśli jest strzeżone przez arystokrację. Zdanie to nie jest nowe. Poglądy, że kultura społeczeństwa jest wyłączną własnością uprzywilejowanej mniejszości, kontrolującej dobrą należącą do całego społeczeństwa, była propagowana z nielicznymi zmianami i ulepszeniami od Platona do Toynbee²⁾. Ci myśliciele odzwierciedlają cele władczych grup, które starają się użyć kultury jako na-

rzędzia swej władzy. Ale to im się nie udało. Historia nie jest kroniką nieprzerwanego status quo. Jest kroniką konfliktu i zmiany rozkwitających sił ludowych; monopol kultury były tak przejściowe, jak monopol władzy. Poeta, malarz, filozof i naukowiec, wszyscy oni zbyt często służyli interesom tych, którzy mogli im płacić za usługi. Cztery lata temu Michał Anioł napisał list, w którym rozbrzmiewają zadziwiająco aktualne nuty: „Jego wysokość przysłał po mnie, mówiąc, abym malował i nie bał się. Moja odpowiedź jest taka: człowiek małego mózgiem, a nie rekami i jeśli umysł jego nie jest jasny, popada w rozpacz”.

Znany ekonomiczną presją naszych czasów. Znany ten strach, który zaciemnia umysł i powoduje drżenie rąk. Ale wiemy również, że artysta degradowuje się i zdradza swoją sztukę, jeśli służy innej sprawie niż prawda i innemu celowi niż miłość ludzkości. Marzymy o tym samym co Michał Anioł wykuł w kamieniu na dowód, że duch twórczy nie może być zahamowany przez małoskopską interwencję i egoistyczne interesy.

Nowoczesna technologia i organizacja przemysłowa wprowadziły zmechanizowaną produkcję dóbr kulturalnych na nieznaną dotąd skalę. Rozwój masowych środków porozumiewania się nie zmienia natury procesu porozumiewania: zaostroża jedynie wewnętrzną sprzeczność między kulturą jako środkiem rozszerzenia wiedzy i uwolnienia ludzkości, a kulturą jako własnością uprzywilejowanej grupy. Te same grupy ekonomiczne, które starają się kontrolować film w USA, usiłują również kontrolować szkoły i uniwersytety Ameryki, w ogóle całą jej naukę i sztukę. Czarne listy istnieją zarówno na uniwersytecie stanu Washington³⁾, jak i w Hollywood. Przesąd zaciemnia zarówno laboratoria naukowe, jak i filmowe.

Historia lat ostatnich wykazuje, jak ważną

rolę w kulturze jest film. Lata wojny szumanizowały i pogłębiły treść amerykańskich filmów. Gdy rząd amerykański porucił politykę Roosevelta, zmiana kierunku produkcji hollywoodzkiej stała się koniecznością. Strategia głównych atłers filmowych, strategia zamykania i rozbijania postępowych związków zawodowych w Hollywood, była spowodowana jedynie względami ekonomicznymi.

Atak na związki zawodowe i konsekwentne osłabianie związków pracowników sztuki wynika z powziętego przez Wall Street i Washington planu skoordynowania i opanowania produkcji filmowej.

Akcja kompanii Braci Warner, która zlała strąk w Hollywood strumieniem wody z hydrantów, rzuciła ostre światło na zmianę atmosfery w Hollywood. Polityka kompanii wobec pracowników była wstępem do polityki w dziedzinie kultury. Projektowany obecnie film o kardynale Mindszynie rzuca światło na dylemat, przed którym stoi przemysł filmowy. Inną jednak sprawą jest zapowiedzieć taki film, inną zaś wykonać go i puścić w obieg. Moim zdaniem film ten nie zostanie nakręcony. Jest on tak wyraźnie sprzeczny z interesem społeczeństwa amerykańskiego, że kompania będzie musiała przypuszczalnie porzucić projekt wykonania go. Antysemityzm jest popularny w pewnych intelektualnych kręgach Ameryki. Antysemity i zdrajca Ezra Pound⁴⁾ dostał właśnie nagrodę poetycką. Paul Gallico, który pisze jędrliwie antysemickie artykuły w prasie Hearsta, jest prezesem Związku Pisarzy. Ale antysemicki film — i film z kardynałem Mindszynie jako bohaterem — to inna sprawa. Taki film mógłby wywołać powszechną opozycję, która by zbyt jaskrawo ujawniła propagandowe cele Hollywood. Amerykański przemysł filmowy jest w tej chwili spleciem sprzeczności i niepewności.

Używanie filmu dla wojennej propagandy koliduje z uczuciami i przekonaniami widzów. Film „Żelazna Kurtyna” nie miał powodzenia. Nie miał powodzenia, ponieważ okazało się, że jest rzeczą niemożliwą przerobić kłamstwa, na których oparty był ten film, na racjonalną, realistyczną opowieść. Można stworzyć psychozę historycznymi nagłówkami gazet, ale nie tak łatwo jest zamienić bzdury i historię w dwugodzinne przedstawienie filmowe, mające jakiś sens dla widzów.

Inny aspekt próby zmobilizowania kina do celów wojennych to obecny kult przemocy, która degradowała osobowość ludzką i stwarza w ludziach poczucie bezsensowności i rozpacz. Historie, którym brak prostych cech ludzkich nie przemawiają do ludzi prostych. Amerykanie mogą być ogłuszeni i ogłupieni hasłem wojennych bębnow, ale wciąż chcą pokoju. Chcą schludnych domów, spokoju i bezpieczeństwa dla samych siebie i dla swych dzieci. Amerykanie wiedzą, że pokój jest osiągalny i że zależy tylko od porozumienia USA ze Związkiem Radzieckim. Nadużywanie filmu jako sztuki dla celów propagandowych podważa w sposób nieunikniony jego komercyjność. Mamy więc w Hollywood kolidujące ze sobą kierunki. Skutkiem tego filmu propagujące wojnę z całą jej historią i szowinizm, są odwołane z powodu trudności scenariuszowych i z powodu niechęci artystów do brania w nich udziału. Z drugiej strony zapowiedziano serię filmów z uczuciową treścią społeczną (z kilkoma filmami na amerykański temat). Walka o sumienie filmu amerykańskiego nadal trwa. Walka ta koncentruje się wokół „hollywoodzkiej dziesiątki”. Uczyniono nam honor, piętnując nas, gdyż jesteśmy obrońcami sztuki, którą kochamy. Stożki za nami wielu tych, którzy gotowi są do takiej samej walki o wolną amerykańską kulturę. Kiedy zawezwano nas na śledztwo i proces do Waszyngtonu, szliśmy z dumą śladami Howarda Fausta i wielu innych. Ostrzegaliśmy, że próba zmuszenia nas do milczenia oraz próba zsyki jest oznaką nowej fazy parcia ku wojnie, któremu towarzyszą coraz silniejsze ataki na swobodę myśli, słowa i zrzeszania się.

Nasze przeprowadzenie spełniły się już nieraz. Śledztwa, procesy i przysięgi lojalności podminowały Konstytucję i Kartę Swobód Obywatelskich, dziedzictwo, o które walczyli i którego strzegli Amerykanie przez ostatnie 150 lat. Wielu Amerykanów nie zdaje sobie jeszcze sprawy z rozmiarów i celów tego ataku. Nie zdają sobie sprawy z tego, że proces przeciwko doktrynie komunistycznej, odbywający się w tej chwili w New Yorku, jest czymś więcej niż próbą wyjęcia spod prawa danej partii politycznej — jest bowiem fatalnym krokiem ku likwidacji swobody słowa i zrzeszania się i ku mobilizacji narodu amerykańskiego do wojny zaczepnej.

W każdej dziedzinie atak kierowany jest przeciw tym ludziom, którzy w najbardziej widoczny sposób oddani są prawdzie i sztuce, których uczuciowości nie da się kupić, którym nie można nakazać milczenia. My, ludzie filmu, nie żyjemy niewdzięcznością za to, że wybrano właśnie nas jako tych, których twórczą działalność należy zlikwidować w celu

zakneblowania amerykańskiego filmu. Stoimy pod zarzutem produkowania „niebezpiecznych” demokratycznych obrazów, które głoszą wierność i przywiązanie do praw obywatelskich i do amerykańskiej tradycji. Wynik filmowej walki będzie miał doniosłe skutki dla innych dziedzin walki o wolność kultury.

Ostateczna decyzja sądu w sprawie „Dziśnięciu” będzie w dużej mierze zależna od klimatu politycznego. Decyzja ta z kolei określi kierunek amerykańskiej kultury filmowej.

Hollywood podobnie, jak zagłębie Ruhry, jest centralnym punktem międzynarodowych targów i napięć. Los obu nie będzie zdecydowany wyłącznie przez generałów i bankierów. Masy ludowe świata nie są bowiem bezinteresownymi widzami przyglądającymi się zabawie w dyplomację i wojny. Doskonałą ilustracją międzynarodowej roli filmu może być wydarzenie, które miało miejsce więcej niż dwadzieścia lat temu. We wrześniu 1926 r. obradował w Paryżu Międzynarodowy Kongres Filmowy. Amerykański dziennik „New York World” skomentował go wówczas w następujący sposób: „Nie jest przesadą twierdzenie, że rola filmu jest większa od roli Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Film bowiem jest w stanie stworzyć w umysłach mas ludzkich stan, decydujący o wojnie lub pokoju”.

Gdy Kongres Paryski dyskutował rolę filmu jako siły pokojowej, amerykański kapitał wykorzystywał właśnie kryzys ekonomiczny w Niemczech, aby zapewnić sobie kontrolę nad niemieckim przemysłem filmowym. Dewaluacja marki niemieckiej pozwoliła Hollywoodowi zalać niemiecki rynek filmami amerykańskimi i wykupić kino-teatry w Niemczech. W 1925 r. UFA, znalazłszy się na krawędzi bankructwa, została ocalona przez pożyczkę z Paramount and Loew's Inc. co dało z kolei amerykańskiemu kompaniom większy wpływ na dystrybucję filmów niemieckich zagranicą. Kiedy UFA zbankrutowała ostatecznie w r. 1927, przekazana została Alfredowi Hugenbergowi, którego dzienniki i agencja prasowa pozostawały na usługach propagandy hitlerowskiej. Wina amerykańskiego przemysłu filmowego w pomaganiu Niemcom w przygotowaniach do drugiej wojny światowej nie była mniejszą od winy innych trustów. „Dyplomacja dolarowa” jest terminem znanym w USA. Możemy mówić także o „celuloidowej dyplomacji”. Próby zredukowania innych krajów do roli kolonii kulturalnych jest jednym z punktów obecnej polityki zagranicznej USA. Plan Marshalla doprowadził przemysł filmowy Francji i Wielkiej Brytanii na skraj przepaści. 50 tysięcy pracowników włoskiego przemysłu filmowego stoi w obliczu bezrobocia. Miałoby się się twórcza, siła, która wyprodukowała tak wspaniałe filmy, jak „Rzym — Miasto Otwarte” i „Sciuscia”. 84% dochodu włoskich kin w r. 1948 poszło do Hollywood, 8% do innych zagranicznych krajów, a tylko 8% otrzymali producenci włoscy. Na drugim końcu świata, w Japonii, 150% podatek nałożony na bilety kinowe, zmierza do wyeliminowania Japończyków i objęcia filmu i kin japońskich przez Hollywood. Każdy poważny pracownik w Hollywood wie, że taka polityka prowadzi do ruiny nie tylko ekonomicznej, ale i artystycznej. Czyżby Wall Street wierzyła rzeczywiście, że jest w stanie pobić kulturę i tradycję innych narodów przy pomocy wątpliwego uroku dolarowych komedii muzycznych, seksualnych dramatów i morderstw i wysmiewania się z ludzkich aspiracji? Te filmy są propagandą. Głoszą one, że pieniądź jest miarą wszelkich wartości. Filmy takie, jak „Pojedynk w Słońcu”, pełen rasistowskich tonów, degradowujący kobiety, pełen brutalności, jest zdradą ideałów ludzkich.

Wielu z nas, pracowników z Hollywood, znakomita większość ludzi zatrudnionych przy produkcji filmów, chciałaby postać filmy zagranicę nie na podobój świata, ale dla pozyskania przyjaźni. Chcielibyśmy opowiedzieć wszystkim ludziom świata o naszym kraju i jego historii. Chcielibyśmy produkować filmy, mówiące prawdę o amerykańskiej przeszłości i teraźniejszości. Chcielibyśmy uwiecznić współczesne życie naszego narodu, pracę robotników i farmerów, kłopoty i nadzieje szarego, zwykłego dnia.

Chcielibyśmy szukać istoty regionalnych kultur, badać lokalne obyczaje, które tak barwnie wzbogacają płynące strumieniem doświadczenia Ameryki. Czy takie filmy mogą być robione? Niedoceniając trudności i siły monopolii oraz presji, jaką wywierają one na produkcję filmową USA, byłoby chowaniem głowy w piasek.

Ale ostateczna decyzja należy będzie do odbiorców — do mas. Tak do mas w Ameryce i poza nią. Masy powinny dowiedzieć się, że są w Hollywood ludzie, których pragnienia i ideały są bliskie ich pragnieniom i pragnieniom braterstwa. My, Amerykanie, mamy techniczne możliwości, wolę i twórczą energię, aby pokazać nasze pragnienia poprzez sztukę filmową. Jesteśmy pewni, że może to się udać, że nie jest daleki czas, kiedy pošlemy Ameryce i innym kontynentom nasz apel filmowy, zawarty w obrazach i dźwiękach.

wszystkich, którzy bronią pokoju³⁾

zagadnień w ramach Organizacji Narcołów Zjednoczonych.

Doktryna Trumana i plan Marshalla spowodowały podpisanie paktu w Brukseli. Stał się on w powojennej Europie pierwszym wojennym narzędziem, którego ostrze tym razem jawnie, skierowane jest nie przeciwko odrodzeniu hitleryzmu w Niemczech, lecz przeciw Związkowi Radzieckiemu, przeciwko narodowi, który, ponosząc takie ofiary i zdobywając się na takie bohaterstwo jak bitwa pod Stalingradem, dokonał decydującego przełomu w ówczesnej sytuacji.

Po to, aby usprawiedliwić i wyjaśnić sens paktu atlantyckiego powołują się dziś niektórzy na to, że pomiędzy Związkiem Radzieckim i wschodnią Europą zawarte zostały również pewne układy i że zagrażają one Europie i Stanom Zjednoczonym. Jest to jednak kłamstwo tak bezwzględne, że głosząc je, nikt nie liczy już nawet na niezłą naiwność.

Prawda jest natomiast, że pakt brukselski jest pierwszą próbą zerwania i zniszczenia jedności zrodzonej na polu walki z hitleryzmem. W przemówieniu swoim w Bostonie Churchill wyraził ubolewanie, że nie zdążyłono rewolucji rosyjskiej. Tym samym wyznał, co ma na celu pakt atlantycki, jakie jest prawdziwe oblicze i sens polityki, która doprowadziła do jego zawarcia.

By uzupełnić obraz paktu atlantyckiego pod

względem politycznym, społecznym i ideologicznym oraz wytłumaczyć, co oznacza on dla całej Europy, należy dodać, że w cztery lata po wojnie, ci, którzy walczyli z Hitlerem i Mussolinim, przyswoili sobie te same hasła ohydnej propagandy i powtarzają te same antykomunistyczne i antysowieckie brednie, które głosił hitleryzm i faszyzm.

Niemcy nie zdenazifikowane, które pod płaszczykiem nowych hasel uprawiają starą hitlerowską politykę, dążącą do zduszenia wszystkich przejawów demokracji i socjalizmu w Europie zachodniej i wschodniej — znów stają się czynnikiem rozstrzygającym o losach Europy.

Pakt atlantycki stawia przed narodami Europy i świata problem dużo poważniejszy niż

kryzys światowy, które musieli rozwiązywać ludzie między rokiem 1914 i 1939.

Wyścig zbrojeń, rozpoczęty w myśl 3 punktu paktu atlantyckiego jest jawnym i poważnym zagrożeniem światowego pokoju.

Punkt 4 tego paktu wprowadza w życie

ohydny zasadę ingerencji niektórych państw w sprawy Europy i całego świata.

Święte przymierze 1949 roku wyznaje te same zasady, które wyznawał legitymizm w wieku XIX. Zestawienie tych dwóch przymierzy pozwala jednak rokować pewne nadzieje. Metternichowskiej Austrii nie udało się bowiem zdławić liberalizmu i rewolucji

narodowego odrodzenia w Europie. Święte przymierze z roku 1949 nie potrafi również zwalczyć rewolucji społecznej i zasady niezależności i suwerenności narodów.

My, uczestnicy Światowego Kongresu w Obronie Pokoju powinniśmy stanąć twarzą w twarz wobec niebezpieczeństwa, jakie stanowią wyścig zbrojeń i ingerencja w wewnętrzne sprawy państw, mająca na celu zdławienie wszystkich sił demokracji i postępu.

Jakimi dysponujemy środkami walki? Trzeba raz jeszcze podkreślić, że najlepszą bronią w tej walce będzie nasza jedność — jedność narodów w walce z despotyzmem. Narody muszą zjednoczyć się wewnętrznie, aby umożliwić realizację paktu atlantyckiego i przemienić go w świętek papieru, pozabawiony jakiegokolwiek mocy. Kongres musi również wprowadzić w życie ideę solidarności w walce wszystkich narodów, dla których groźba jest pakt atlantycki. Narodów, które chcą zmienić wewnętrzne stosunki twórczo i zbudować społeczeństwo na nowych podstawach, znajdując się w niebezpieczeństwie. W ciągu najbliższych tygodni i miesięcy musimy stworzyć atmosferę wzajemnego zaufania i tym samym zmusić rządy do zaniechania polityki agresji i do stworzenia jedynych podstaw, które mogą zapewnić ludzkości pokojową przyszłość. Podstawy te — to zasada niepodzielności świata i zasada zbiorowego bezpieczeństwa.

Chciałbym, by kończąc swe obrady Kongres powziął konkretną uchwałę o utworzeniu stałej Rady Narodów, która byłaby odpowiedzialna narodów na zaangażowanie się rządów w pakt atlantycki. W ten sposób stworzyłibyśmy naszą stałą Radę Pokoju, stałą organizację, pozostawiając każdemu krajowi pełnię inicjatywy dla zjednoczenia sił do wspólnej i uporczywej walki o pokój.

Ponieważ Kongres Obrońców Pokoju jest odpowiedzialny narodów na pakt atlantycki, stała Rada będzie bronią polityczną przeciwko agresji wojennej, bronić będzie niezawisłości i suwerenności narodów, szczególnie małych.

Myślę, że urzeczywistnimy nasze plany, jeśli z tego miejsca wyciągniemy braterską dłoń do tych wszystkich, którzy za wszelką cenę starają się pokój obronić. Myślę, że należy także oświadczyć, że ta bratnia dłoń zmieni się w groźną pięść tylko w tym wypadku, jeśli twórcy paktu atlantyckiego nie odpowiedzą na nasze wezwanie i wezmą na siebie odpowiedzialność za rozpętanie nowej wojny; odpowiemy na nią powstaniem wszystkich narodów przeciwko podżegaczom wojennym.

przełożyła Z. L.

¹⁾ Przemówienie wygłoszone na Kongresie Paryskim.

²⁾ Przemówienie wygłoszone na Kongresie Paryskim.

³⁾ Poeta amerykański, który brał udział w audycjach faszystowskich Włoch podczas wojny.

CHARLES BAUDELAIRE

Przełożyła JOANNA GUZE

O kilku karykaturzystach francuskich

Szkie „O kilku karykaturzystach francuskich”, którego fragmenty przytaczamy poniżej, został ogłoszony drukiem po raz pierwszy w piśmie „Artiste”, w 1857 roku. Jest to pierwsze studium o karykaturzystach epoki i jak wszystkie bezmiara studia Baudelaire'a — żarliwego obrońcy prawdziwych artystów — (Delacroix, Corot, Teodor Rousseau, Guys Manet) i bezlitosnego krytyka knoćlarzy, choćby najbardziej sławnych — zadziwia trafnością sądów, których zachwiał nie zdołał ani czas, ani zmieniające się wciąż kryteria estetyczne. Na szczególne podkreślenie zasługuje ocena Daumiera, w którym Baudelaire pierwszy dostrzegł nie tylko karykaturystę chwili, ale i moralistę, wielkiego malarza obyczajów, nieustępliwego miarę artystyczną swego dzieła największym twórcom mieszczaństwa francuskiego, niż Daumier, bezlitosny i nie zbłądzący ustępstw, artysta - nowator, spadkobierca Goya i jak Goya najbardziej daleki od schlebiana panującym, uprzywilejowanym i rządcom.

DAUMIER I GAVARNI

BĘDĘ teraz mówić o jednym z najważniejszych ludzi nie tylko w historii karykatury, ale i sztuki nowoczesnej. O człowieku, który każdego ranka bawi mieszkańców Paryża, który każdego dnia rozwesela publiczność i zaspakaja jej poczucie humoru Mieszczanin, człowiek interesów, ulicznik, kobieta, śmieją się i — niewdzięczni! — nie zwracają nawet uwagi na podpis. Dotychczas tylko artyści zrozumieli, ile powagi kryje się w tych rysunkach i tylko oni wiedzą, że dzieło tego człowieka jest doprawdy materiałem do studiów. Czytelnik domysla się, że mówię o Honoriuszu Daumier.

Pierwsze kroki Daumiera nie były olśniewające: rysował, ponieważ miał potrzebę rysowania, bo czuł powołanie. Umieścić pierw kilka szkiców w małym dzienniku założonym przez Williama Ducketta; potem Achilles Ri-court, który wówczas zajmował się handlem szyćkami, zakupił u niego parę innych. Rewolucja 1830 roku, jak wszystkie rewolucje wywołowała szal karykatur. Była to dla karykaturzystów naprawde piękna epoka. W tej zawziętej wojnie przeciw rządowi i królowi w szczególności, brało się udział całym sercem i całą duszą. Studium ogromnego zbioru historycznych żartów, pod nazwą „Karykatury”, tych wielkich archiwów komizmu, do których wszyscy artyści godną tej nazwy dorzucali swą czastkę, jest dziś niezmiernie ciekawym zajęciem. W chaosie, pomieszaniu, jako aktorzy tej niezwykłej i szatańskiej komedii, niekiedy błażńskiej, niekiedy krwawej, przesuwały się przed naszymi oczami, poprzebierani w coraz to inne groteskowe stroje, wszystkie szczerze osobistości polityczne. Wśród tych wielkich ludzi rodzących się monarchii, ile nazwisk już zapomnianych: Aleksandrem głównym tej fantastycznej epopei, ukoronowaniem dzieła, jest — piramidalna i olimpijska, wstawiona procesami Gruszka²⁾. Czytelnik przypomina sobie, że Phil'pon³⁾, który wciąż miał na pieńku z sądownictwem królewskim, chcąc raz wreszcie dowiedzieć trybunałowi, że nie ma nic bardziej niewinnego nad te irytującą i nieszczęsną gruszkę, narysował w czasie posiedzenia sądowego serię szkiców, z których pierwszy był wernym portretem twarzy królewskiej, zaś następnie, oddalając się coraz bardziej od ujęcia pierwotnego, zbliżały do fatalnego kształtu gruszki. „A więc, panowie, powiedział, jak widziecie związek między szkicem pierwszym, a ostatnim!” Przeprowadzono podobne doświadczenia z głową Chrystusa i głową Apollona i zdaje się, że w jednej z nich doszukano się podobieństwa do ropuchy. Nie

¹⁾ Karykatura współczesne pismo satyryczne (przyp. tłum.).

²⁾ Karykaturzyści współcześni doszukali się w kształcie gruszki podobieństwa do twarzy i postaci Ludwika-Filipa. Gruszka, odtąd już symbol, powtarza się nieskończone ilości razy na łamach wszystkich pism satyrycznych. (przyp. tłum.).

³⁾ Karykaturzysta i dziennikarz, redaktor „Karykatury i Charivari”. (przyp. tłum.).

dowodzi to jednak niczego. Symbol wymyślono drogą niewinnej analogii. Odtąd symbol wystarczył. Posługując się tym plastycznym narzędziem można było powiedzieć ludowi i dać mu do zrozumienia wszystko, co się chciało.

„Przed chwilą powiedziałem: krwawe żarty. Istotnie, te rysunki często pełne są krwi i wściekłości. Rzezie, aresztowania, więzienia, prześladowania, procesy, policja, wszystkie te epizody z pierwszych lat monarchii 1830 roku pojawiają się nieustannie; niechaj czytelnik sam osądzi!”

Młoda i piękna Wolność w czapce frygijskiej śpiąc snem złowrogim nie myśli o niebezpieczeństwie, które jej zagraża. Człowiek pełen złych zamiarów zbliża się ku niej ostrożnie. Człowiek ma grubą szyję sprzedawców z hal, lub wielkich posiadaczy; nad jego gruszkowatą głową wznosi się sterczący kosmyk włosów: twarz otaczają faworyty. Potwór widziany jest z tyłu i przyjemność jakiejś doznajemy domyślając się jego imienia, dodaje sztychowi; nie mało wartości. Zbliża się do młodej osoby. Przygotowuje, aby ją zgwałcić.

— Czy modliła się pani dziś wieczór? — To Otello — Filip dusi niewinną Wolność mimo jej krzyków i oporu.

Obok domu o wyglądzie więcej niż podejrzanym, przechodzi młodzianka dziewczyna w malej czapcece frygijskiej, którą nosi z niewinną kokieteryją demokratycznej gryzki. Panowie X i Y (twarze dobrze znane, — na pewno ministrowie i to najbardziej szacowni) uprawiają tu szczególne rzemiosło. Oszukują biedne dziecko, szepcząc jej do ucha pieszczotliwe lub sprośne słówka i delikatnie popychają ku wąskiemu korytarzowi. Za drzwiami ukazuje się Człowiek. Nie widzimy profilu, lecz to na pewno on Oto kosmyk i faworyty. Czeka, niecierpliwie się!

Teraz ciągną Wolność przed trybunał przypominający sady średniowieczne: wielka galeria współczesnych portretów w dawnych strojach.



Daumier — Młodość sztychów

Oto Wolność w izbie katów. Zmiazdza jej delikatne kostki u nóg, rozedma brzuch strumieniami wody, lub popelnia równie ohydna zbrodnię. Bez trudu możemy rozpoznać tych atletów o nagich ramionach, potężnie zbudowanych i żądnych tortur. Są to panowie X, Y i Z zlenawidzeni przez opinię publiczną. W tych wszystkich rysunkach, które cechuje na ogół godna podkreślenia powaga i świadomość, król gra zawsze rolę obrzyna z bajek pożerającego dzieci, mordercy, nienasyconego Gargantui, gorszego odeń częstokroć. Od czasów rewolucji lutowej widziałem tylko jedną karykaturę, której drapieżność przypominała mi epokę wielkich namietności politycznych: wszystkie bowiem mowy poli-



Daumier — Mowa obrońcy

tycznych obrońców wystawiane w wytrnych począwszy od wielkich wyborów prezydenckich, bardzo są blade w porównaniu z dziełami z tamtego okresu. Rzecz działa się po nieszczęsnym rzeziach w Rouen. Na pierwszym planie trup podziurawiony kulami leży na noszach; za nim dygnitarze miejscy w mundurach, pięknie ufrzyzowani, wymuskani, wystrojeni, z podkręconymi wąsami, pełni pychy; zapewne są między nimi mieszczańscy dandyści, którzy będą stać na warcie i usmieierać bunt wyjętym z butonierki bukieciem fiołków; wreszcie ideał mieszczańskiego gwardzisty jak mawiał najświetniejszy z naszych demagogów⁴⁾, F. C.⁵⁾ odziany w tożę sędziowska, na kolanach przed noszami, z otwartymi ustami, szczerząc jak reklin podwójny rząd zębów przypominający kształtem piłę, powoli przesuwa swe pazury po ciełe trupa raniąc je z rozkoszą. — Ach! Syny Normandii! mów, udaje umarłego, by nie odpowiadać przed sprawiedliwością!

Równie zaciekle karykatura walczyła z rządem. Daumier odgrywał ważną rolę w tych nieustannych utarczках. Wymyślono sposób by pokryć koszta kar obciążających Charivari reprodukcją w Karykaturze dodatkowej rysunki, których sprzedaż przeznaczona była na zapłacenie tych kar. Nieszczęsną rzecz na ulicy Transnonain⁶⁾ ukazała nam Daumiera jako prawdziwie wielkiego artystę: rysunek dość rzadko dziś spotykany, przejęto go bowiem i zmieszczono. Nie jest to karykatura w ścisłym sensie tego słowa, raczej historia, pospolita i straszliwa rzeczywistość. W ubogiej i smutnej izdebce, tradycyjnej izdebce proletariatu, umebłowanej banalnymi i niezbędnymi przedmiotami, przez całą szerokość rozpięta jest naga cieła leżąca na plecach, robotnika w koszuli tylko i bawelnianej szlafmycy, z nogami i ramionami rozkrzyżowanymi. W pokoju niewątpliwie toczyła się gwałtowna walka, krzesa bowiem są przewrócone, tak samo jak stół przy łóżku i nocnik. Cieżarem martwego ciała ojciec między leżące między jego plecami i ramą łóżka trupa małego dziecka. W tej zimnej mansardzie nie ma nic prócz ciszy i śmierci.

W tym samym okresie Daumier rozpoczął satyryczny cykl portretów wybitnych polityków. Cykl dzieli się na dwie grupy: portrety całych postaci i popiersia. Te ostatnie są jak sądzę późniejsze i obejmują tylko parów Francji. Artysta dał tu dowody nadzwyczajnej inteligencji w portretowaniu. Podkreślając i uwypuklając rysy oryginalne pozostał wierny naturze, tak że owe dzieła mogą służyć za model każdemu portrecyście. Z tych bestialskich twarzy można odczytać bez trudu całe ubóstwo ducha, wszystkie śmieszności, maniactwa umysłu i wady serca; każdy szczegół jest narysowany i zaakcentowany wyraźnie. Daumier był tu uległy jak artysta i dokładny jak Lavater⁷⁾. Dzieła Daumiera datowane z tego okresu różnią się zresztą znacznie od jego dzieł dzisiejszych. Nie ma w nich tej łatwości improwizacji, rozgadania i lekkości ołówka, które nabył później. Niekiedy są zbyt ciężkie, lecz zawsze doskonale skończone, bardzo świadome i bardzo surowe.

Pamiętam rysunek wielkiej piękności należący do tego samego okresu: Wolność Prasy. Wśród wyzwolonych narzędzi pracy i materiałów drukarskich robotnik typograf, mając na głowie sakramentalną czapkę z papieru opadającą na ucho, z odwiniętymi rękawami koszuli, kwadratowy, mocno stojący na wielkich nogach, zaciska pięści i marszczy brwi. Ten muskularny i wyciosany z jednej bryły człowiek przypomina postaci wielkich mistrzów. W głębi nieśmiertelny Filip i jego policjanci, którym brak odwagi by zbliżyć się i szukać zaczepki.

Lecz nasz wielki artysta tworzył dzieła także w innym stylu. Opiszę kilka najbardziej zadziwiających, które należą do rozmaitych

⁴⁾ Prawdopodobnie mowa o Lafayecie.

⁵⁾ F. C. — Franc Carré w owym czasie przewodniczący Trybunału w Rouen (przyp. tłum.).

⁶⁾ Rysunek, o którym mowa: Ulica Transnonain, 15 kwietnia 1834, odnosi się do jednego z najbardziej krwawych epizodów panowania Ludwika Filipa (przyp. tłum.).

⁷⁾ Lavater — uczonego szwajcarskiego, twórcę teorii określającej człowieka na podstawie rysów jego twarzy (przyp. tłum.).



Daumier — Chory z urojenia



Daumier — Drama

EUGENIUSZ SAWRYMOWICZ

W teatrach Moskwy i Leningradu

POBIEŻNE przejrzenie codziennej prasy, a jeszcze lepiej — programu zbiorowego, zawierającego repertuar tygodniowy wszystkich teatrów w Moskwie czy Leningradzie, pozwala od razu zorientować się w bardzo szerokim wachlarzu sztuk, jakie w teatrach tych są wystawiane.

Z jednej więc strony arcydzieła dawnej dramaturgii zachodnio-europejskiej, z Szekspirem i Moliérem na czele, z drugiej — klasyka rosyjska: Gogol, Ostrowski, Fonwizin, Czechow; z jednej strony nowszy repertuar zachodni — Shaw, Scribe i inni, z drugiej — sztuki reprezentujące twórczość radziecką, do ostatniej chwili włącznie.

Zajmijmy się od razu tą ostatnią grupą, gdyż jest ona podwójnie ciekawa: i jako wyraz artystycznych i ideologicznych osiągnięć realizmu socjalistycznego, i jako bezpośredni powód, który wywołał znaną już czytelnikom „Kuźnicę” doniosłą dyskusję na temat kosmopolityzmu w sztuce.

Dyskusja ta poruszyła i rozwiązała radykalnie sprawy, które narastały od dawna, lecz właśnie stanowisko pewnej grupy krytyków teatralnych wobec najnowszej produkcji dramatycznej odegrało rolę kamyczka, który poruszył lawinę. Chodzi tu m. in. o sztukę następującą: „Zielona ulica” A. Surowa, „Moskiewski charakter” A. Sofronowa i „Chleb nasz powszedni” M. Wirty.

Wszystkie trzy wystawione zostały w lutym br. w teatrach moskiewskich i pomimo nieprzychylnych ocen w recenzjach krytyków z grupy kosmopolitów spotkały się z niezwykle gorącym przyjęciem u publiczności i w krótkim czasie weszły na sceny kilkudziesięciu teatrów w całym Związku Radzieckim. Dziś pozycja ich jest już mocno zawarowana.

Krytycy — kosmopolity nie dostrzegli w tych sztukach ich nowatorskiego charakteru nie tylko w mocno zarysowanej treści ideowej i ostrym uchwyceniu najbardziej istotnych problemów bieżącego życia w społeczeństwie radzieckim, ale nawet w bardzo wyraźnym, zupełnie nowym postawieniu artystycznej struktury utworu dramatycznego. Problemy ideowe i związek z życiem krytycy ci świadomie przemilczali lub lekceważąco zaledwie zaznaczyli, strone zaś artystyczną tendencję nie zważając na dawny i nowszy dramaturgia zachodnią, wykazując wyższość tej ostatniej pod każdym względem. Pretekstem bardzo dogodnym były tu pewne błędy lub niedociągnięcia artystyczne autorów radzieckich, czego przy torowaniu nowych dróg uniknąć, rzecz jasna, trudno. Krytycy ci jednak przeczyli jedno: że utwór literacki jest w swej zawartości ideowej i kształcie artystycznym integralną całością i że o wartości utworu nie może decydować poziom artystyczny rozpatrywany w oderwaniu od wyrazu ideowego wzgl. odwrotnie. Dostrzegła to natomiast publiczność, radziecka publiczność teatralna, mająca wyrobiony i zdrowy sąd, nie zepsuta formalistycznym estetyzmem, no i szukająca w swym teatrze czegoś więcej, niż podrażnienia stepionych nerwów dekadentckiego bourgeois, który przytłaczająco panuje na widowiskach zachodu.

Jakież są zatem owe potępione przez krytyków-kosmopolitów a wyróżnione przez publiczność i bezstronnych recenzentów sztuki?

Wszystkie trzy wyrosły z konkretnej współczesnej rzeczywistości państwa i społeczeństwa radzieckiego; poruszają i rozwiązują najbardziej istotne problemy życia każdego obywatela radzieckiego, określając życie gospodarcze i polityczne całego społeczeństwa, a więc i państwa. Na tej społecznej i państwowej problematyce opiera się nie tylko treść rozmów postaci scenicznych, ale i sama konstrukcja sztuk. Sprawy te są podłożem konfliktów dramatycznych, a więc czynnikami konstrukcyjnymi i strukturalnymi utworów.

„Zielona ulica” Surowa, grana w Moskiewskim Teatrze Artystycznym, tzw. Mchat’cie, wyrosła z problematyki związanej ze sprawą transportu kolejowego. Daje obraz konfliktu między grupą entuzjastów współzawodnictwa pracy, postępu na drodze udoskonalenia technicznego itp. a reprezentantami bądź to zgorzkniałego niedowiarstwa, bądź wprost wrogości do spraw tych nastawienia.

Osią dramatyczną są tu nie wewnętrzne psychologiczne przeżycia bohaterów, lecz sam problem ideowy. Poszczególne postacie, kapitalnie zarysowane, są przede wszystkim typami reprezentującymi określone stanowisko wobec tego problemu. Punkt ciężkości w przebiegu akcji leży nie na sprawie zwycięstwa tej czy innej postaci, lecz na sprawie zwycięstwa idei. Lekko (czasami nawet zbyt lekko) nakreślone przeżycia psychologiczne bohaterów są tylko środkiem podkreślającym fazę dramatyczną, w której w danej scenie znajduje się idea. Stąd dość duża rola scen monologicznych.

Przebieg akcji dramatycznej jest w skrócie następujący: młody maszynista Sibirakow ma otrzymać nagrodę za zwycięstwo odniesione we współzawodnictwie o przyspieszenie transportów. W ostatniej chwili brutalnie odrzuca wręczaną mu przez jednego z dyrektorów kolei i jednocześnie profesora Instytutu Kolejowego, Krutulina, nagrodę, gdyż wie, że dyrektor celowo ułatwił mu zwycięstwo, aby potem móc to zdyskontować przeciwko zasadzie współzawodnictwa na kolei; chce on dla osobistych celów wykazać, że granice

szybkości transportu są wąskie i przekroczyć je może tylko maszynista, któremu otworzy się droga przez jednoczesne wstrzymanie innych transportów. Dla Sibirakowa sprawa staje się o tyle nieprzyjemna, że właśnie ma on zdawać egzamin w Instytucie przed owym dyrektorem-profesorem, którego obrazł.

Po stronie Sibirakowa staje grupka młodych uczniów rzemieślniczej szkoły kolejowej, którzy bez wystarczających podstaw naukowych, powodowani tylko entuzjazmem, chcą dokonać pewnego wynalazku w zakresie konstrukcji parowozów. I młodzi i Sibirakow zyskują sympatię dyrektora Instytutu, Rubcowa. Przeciw sobie zaś mają prócz Krutulina jeszcze naczelnika kolei Kondratiewa, który myśli tylko o własnej wygodzie, oraz częściowo profesora Drodzowa, który stracił swój dawny entuzjazm, gdy nie udało mu się dokonać od dawna pomyślanego ulepszenia w konstrukcji parowozów.

Drugorzędnymi łącznikami między obu partiami są: żona Kondratiewa, piękna i zalotna Zofia, którą uwodzi Krutulin, oraz córka Kondratiewa z pierwszego małżeństwa, Lena, inżynier w parowozowni; w tej ostatniej zakochany jest (z wzajemnością) Sibirakow.

Akcja rozwija się bardzo żywo, narastanie konfliktów jest ciekawe. Oto w decydującej rozmowie Zofii z amantem in spe ten ostatni odkrywa swe karty: chodzi mu tylko o karierę, o wygodne życie w stolicy; nawet przy należności do partii traktuje jako okazję do wybiecia się. Ojciec Leny zabrania jej widywania się z Sibirakowem, co doprowadza do ostrego konfliktu rodzinnego, tym bardziej, że i Lena nagle (zbyt nagle, bo z przekroczeniem prawdopodobieństwa psychologicznego) przejrzała swe błędy i stanęła po stronie pasierbicy. W niezwykle ciekawej i pełnej przejmującego napięcia rozmowie dyrektora Rubcowa z profesorem Drodzowem w akcie III zaczyna wyłaniać się rozwiązanie konfliktu ideologicznego. Wreszcie egzamin Sibirakowa, podczas którego odkrywa się cała perfidia Krutulina i jego kosmopolityczne stanowisko (pisywał do prasy zachodniej artykuły, w których ocenzuralnie osiągnięcia kolejniacy radzieckiego). Egzaminu, według słów dyrektora, nie zdał... profesor.

Na tle tego rozwiązania akcji ukazują się ogromne perspektywy dla dalszego rozwoju kolejnictwa, a co za tym idzie — i dla całości gospodarki Związku. Nad chwytajnymi i nad nieuczciwymi odnoszą zwycięstwo ludzie o charakterach nie tylko prawych, ale przede wszystkim — mocnych, bezkompromisowych. I ci wyznaczają drogę przyszłości.

Tak samo związana jest z problematyką życia społecznego sztuka Wirty „Chleb nasz powszedni”, grana w tymże teatrze. Tu konflikt dramatyczny rozgrywa się w walce, jaką w kolchozie toczą entuzjaści z ludźmi goniącymi za osobistym zyskiem lub pragnącymi tylko spokoju (przewodniczącą Rejonowego Komitetu, Twardowa, która na wojnie straciła męża i syna i którą to całkowicie zalamano).

Sztuka ma mocne zadęcie komediowe i pozbawiona jest tych naiwności psychologicznych, które występują miejscami u Surowa. Przebieg akcji jest bardzo interesujący i obfity w mocne akcenty dramatyczne (jak niespodziewany powrót zaginionego na wojnie sekretarza komitetu powiatowego partii, Rogowa, jak zdemaskowanie oszusta i złodzieja — przewodniczącego zarządu jednego z kolchozów, Tichoj, itd.). Autor kapitalnie wykorzystuje momenty i postacie kontrastowe, przy czym z postaci tych tworzy jednocześnie i typy i pogłębione psychologicznie indywidualności. Unika przy tym łatwizn, które mogłyby doprowadzić do zaciemnienia przeżyć wywołanych sprawami ideowymi bohaterów przez ich przeżycia natury prywatnej. Podobnie jak u Surowa, przeżycia prywatne wiążą się tu w nierozdzielalną całość z przeżyciami społecznymi, nie będąc zresztą nigdzie tendencyjnie potraktowaną ich funkcją. Po prostu występują tu ludzie Związku Radzieckiego, dla których sprawy ogólne są przedmiotem najwyższych zainteresowań osobistych. A jeśli komuś życie prywatne zastłania sprawę ogólną, to jest to w sposób zu-

pełnie naturalny potraktowany jako jakiegoś skrzywienie, niemal chorobliwe. I to jest bezspornie obraz rzeczywistości radzieckiej.

W jeszcze inną dziedzinę życia społecznego i państwowego ZSRR wprowadza nas sztuka Sofronowa „Moskiewski charakter” w Teatrze Małym.

Tu wysuwa się problem koordynacji pracy w różnych zakładach przemysłowych. Konstrukcja dramatyczna wynika ze stanowiska dyrektora fabryki obrabiarek, który nie chce przyjąć zamówienia dla fabryki włókienniczej, ponieważ zamówienie to psuje mu plan przekroczenia normy.

Połączenie elementów prywatnego życia bohaterów z ich życiem społecznym Sofronow przeprowadza wprost z mistrzostwem, przy czym inaczej niż u Surowa i Wirty — przestoż zainteresowań osobistych nie ukazuje jako chorobliwych skrzywień, tylko ośmiesza je z umiarem, ale też z pierwszorzędnym poczuciem humoru. Doskonale rozwiązane tu są sceny zbiorowe, których pokazana liczba mocno podkreśla zespołowy charakter działalności ludzi radzieckich. I nie ma w tym ani cienia wulgarnego tendencyjności, bo konstrukcja sztuki jest bez zarzutu i ta jej wysoka klasa artystyczna uzasadnia wszystkie sceny zbiorowe (np. posiedzenie komitetu partyjnego, narada w fabryce włókienniczej, wesele jednej z par itd.). To właśnie wesele jest rozwiązaniem konfliktu dramatycznego: zjawia się na nim także osamotniony dyrektor, który pod pozorem poszukiwania żony, porzuconej w chwili „obrażenia się” za jej rzeczo-we stanowisko na posiedzeniu komitetu partyjnego, przychodzi, by wziąć udział w ogólnej radości. I ten nastrój radości jest znowu ową perspektywą rzuconą w przyszłość.

Realizm sztuk jest pełny. Obraz życia społeczeństwa radzieckiego ukazuje się w nich wszechstronnie ujęty, mimo że każda opiera się na ściśle określonym przez temat wyinku tej rzeczywistości. Każda oddzielną, a nie wszystkie trzy „zsumowane” (ko-lejnictwo + przemysł + gospodarka wiejska) określa pełną rzeczywistość, ponieważ w każdej ukazane jest typowe życie typowych ludzi radzieckich. Przeżycia bohaterów i ich charaktery są tu ukazane w nierozdzielalnym związku z warunkami, w jakich toczy się życie w państwie socjalistycznym. I dlatego jest obojętne, jaki wycinek tego życia widzimy na scenie. Czy to w kolejnictwie, czy w kolchozie, czy na fabryce — ukazane jest to samo życie, bo zdeteminowane tą samą ideą. Życie to tworzy określony typ bohaterów pozytywnych i tych właśnie bohaterów, ludzi oddanych idei, twardych, bezkompromisowych, stworzonych przez warunki bezklasowego państwa pracy, ukazują wszystkie omawiane sztuki. Podobnie jest z postaciami ujemnymi, których charaktery i działania wynikają z resztek przyzwyczeń mieszczkańskich i moralności wymarłej właściwie klasy. Postacie te ukazane są bądź jako produkt wpływu obecnej ideologii (Krutulin), bądź jako konsekwencja słabości charakteru prowadzącej do zalamania się (Twardowa) lub wypaczenia pojęć moralnych (Tichoj).

Mimo to sztuki te nie są jednostajne. Inny wycinek rzeczywistości stwarza warunki do zupełnie innego rozwiązania sytuacji i przebiegu akcji, wprowadzenie zaś indywidualnych cech subiektywnych przeżyć bohaterów daje w wyniku ogromne zróżnicowanie i bogactwo treściowe. Indywidualności autorów są tu, rzecz jasna, sprawą nie mniej decydującą.

Realizm sztuk podkreśla reżyseria i wystawa.

Reżyseria (Sudkow, Stradomska, Kariew) idzie w kierunku uwidatnienia „codzienności” wydarzeń, stworzenia pełnej iluzji rzeczywistego życia. Harmonizuje z tym wystawa, przede wszystkim dekoracje (Kedrow, Dikoj, Dmitriew, Szifrin).

Dekoracje są realistyczne aż do autentyzmu, co może razić widza, nie przyzwyczajonego do tego typu wystawy. A przecież niektóre zwłaszcza dekoracje, jak np. widok stacji kolejowej w nocy lub wiosenny pejzaż wiejski, budzić muszą wysokie zadowolenie

estetyczne także u widzów obytych raczej z „syntetyczną” techniką dekoracyjną. Zresztą w teatrach radzieckich spótkać można i tę technikę, ale nie ma ona powodzenia u widzów i jest wywoływana raczej koniecznością niż pomysłami artystów. Tak np. syntetyczne dekoracje ma sensacyjno-szpiewowska (w najlepszym znaczeniu) sztuka Barianowa pt. „Po tamtej stronie” w Centralnym Teatrze Czerwonej Armii. Ogromne rozmiary sceny w tym nieprawdopodobnym pod względem wielkości teatrze nie pozwalają sprawy dekoracji rozwinąć inaczej, jak przez wprowadzenie pewnej syntetyczności; jest to jednak syntetyczność bardzo umiarkowana, z wyraźną tendencją do realizmu.

Jeszcze dwie sztuki należy wymienić, jako że stały się one sensacją artystyczną na największą skalę: Solowiewa „Wielki monarcha” (Wielkiej gosudar) w Teatrze im. Wachtangowa w Moskwie i prapremiera baletu „Jeździec miedziany” (wg poematu Puszcina) Giera w Teatrze Opery i Baletu w Leningradzie.

Solowiew nazwał swą sztukę o Iwanie Groźnym tragedią. Nie jest to określenie ściśle, jeśli weźmie się tradycyjne pojęcie tragedii „Wielki monarcha” to raczej potężny poemat dramatyczny o ogromnych walorach scenicznych. Walory te w pełni zostały wydobyte przez inscenizację, w której z pięctwem nadano sztuce słynową oprawę historyczną, zarówno w dekoracjach, jak w strojach, jak wreszcie w monumentalnej powadze gry aktorów.

Ten piętyzm w stosunku do wielkiej przeszłości jest zresztą wyrazem tego ogólnego piętyzmu, z jakim rząd i społeczeństwo radzieckie odnosi się do przeszłości narodowej, co zaznacza się na każdym kroku w muzyce, w opiece nad zabytkami itd.

Solowiew w swym utworze przeprowadził imponującą rewizję utartego poglądu na Iwana Groźnego, umieszczając jego tragiczną postać na tle powikłanych stosunków społecznych: walka polejnych monarchów z klasą bojarów o realizację idei Wielkiej Rusi. Surowość i okrucieństwo Groźnego ukazane są jako tragiczna konieczność, wynikająca m. in. z rewolucyjnego charakteru jego dążeń, w których przeciw bojarom szuka on oparcia w przedstawicielach niższych warstw (opriczniki, Iwan Kolco, Jermak Timofiejewicz).

W apoteozie wielkości tych rewolucyjnych dążeń oraz w apoteozie patriotyzmu Solowiew utrafił w nurt, którym płynie życie społeczeństwa, a dlatego sztuka jego spotyka się z niebывалым entuzjazmem.

Balet Giera natomiast to przede wszystkim rewidacja inscenizacyjna. O ile na ogół w teatrach moskiewskich i leningradzkich obok najnowszych zdobyczy techniki nie pogardza się też tradycyjnymi, nieco przestarzałymi metodami, jak np. kulisyowy system w scenach pejzażowych, częste stosowanie siatek i zasłon z gazy, a nawet używanie malowanych na płótnie zamków, gór itp., o tyle w „Jeździec miedziany” zastosowano wyłącznie metody ultranowoczesne. Efekty są wprost nieprawdopodobne. Takie sceny, jak wylew Newy czy bieg obłąkanego Eugeniaza przez ulice Petersburga — przelamują wszelkie wyobrażenia o teatrze. W scenie prowadzi drogą połączenia efektów świetlnych (deszcz, chmury), dźwiękowych (szum wody) i technicznych (wystąpienie wody z brzoźów, podnoszenie się groźnych, falujących mas, po których płyną rozwalone chaoty, ludzie z powodziłanymi, wreszcie sam bohater) inscenizator Zacharow dał widowiskowość, wobec którego publiczność niemieje z podziwu i zachwytu, by po chwili wybuchnąć taką burzą entuzjazmu, że nie dało się jej uciszyć przez blisko 20 minut. To już nie były oklaski i wołania, lecz jakiś spontaniczny krzyk zbiorowości, w której nastąpiło zupełnie zespolenie myśli i uczuć w obliczu wielkiej sztuki.

A radziecka publiczność teatralna jest bardzo wymagająca i zna się na rzeczy. Odczuwa się to na każdym przedstawieniu. Głośne i powszechne dyskusje podczas antraktów, wymowne szmery lub spontaniczne wybuchy entuzjazmu podczas przedstawienia, podkreślające z reguły najbardziej wartościowe momenty, wszystko to świadczy o wysokim poziomie kultury teatralnej najszerzych mas. I to trzeba zrozumieć, gdy się jest w teatrze radzieckim, bo ów szmer na sali — to zjawisko zupełnie swoiste. Podkreśla ono, że wbrew utartej metaforze teatr w Związku Radzieckim nie jest „Świątynią”, do której wchodzi się z nieco sztucznym skupieniem, by zapomnieć o świecie i poddać się uroczystemu nastrojowi. Teatr jest tu wielkim, ale zupełnie prosto pojętym źródłem zaspokojenia potrzeb kulturalnych szerokiej mas społeczeństwa. Stąd naturalność w zachowaniu się publiczności, ale stąd także ogromny kult sztuki teatralnej i szacunek dla wszystkich, którzy ją tworzą.

Jest jeszcze niezmiernie ciekawy teatr dla młodzieży tzw. Teatr Młodocianego Widza. Ale to już zagadnienie odrębne, na które w niniejszym artykule nie ma miejsca. Obserwację sprawę tę poruszyłem w kwietniowym numerze „Głosu nauczycielskiego”.



TANIE KSIĄŻKI RADIOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Tom 7 — Witold Rybczyński, *Co to jest radar?* Cena egz. zł 80.—
Tom 8 — Józef Barbag, *Geografia Gospodarcza Polski* w zarysie (z fotografiami i mapkami) Cena egz. zł 200.—
Tom 9 — 17 *Opowiadań z radiowego konkursu literackiego* Cena egz. zł 280.—

Wkrótce ukaże się:

Tom 10 — Jan Zabiński — *Któżby przypuszczał?*

Tom 11/12 — Władysław Cetner, *Radiofonia*

Radiowy Instytut Wydawniczy, Kraków, Wróblewskiego 6

MAREK WIERCZYŃSKI

Hamlet z Jowiałówki

S TANOWCZO pan Jowiałowski nie ma szczęścia do komentatorów. „Najmilszy na świecie staruszek” — jak go nazwał Stanisław Tarnowski — stał się w interpretacji Eugeniusza Kucharskiego symbolem „marazmu, bezwzględności, stepienia i jałowości duszy, węgłacji bezmyślnej, rozbawionej i zadowolonej z siebie”, słowem — jakimś Chochołem życia galicyjskiego na 70 lat przed powstaniem „Wesela”. Z tezą Kucharskiego, która w utworze Fredry widziała komedię społeczną, rozprawił się skutecznie Boy-Zeleński. Teza ta odrzuciła się jednak niespodziewanie — pod piórem Tadeusza Peipera („Teatr”, 1949, nr. 1), z tą zasadniczą różnicą, że Chochoł zmienił się w Hamleta: podobnie jak Hamlet „dla wiadomego celu posługuje się mową wariata, rzucając przy tym znaczącą dłońią znaczące żarty, tak Jowiałowski posługuje się przysłowiami i dyktandami, bo tylko w tej zamaskowanej i dyktandowej formie może wypowiedzieć swoją prawdę o życiu, prawdę niebezpieczną w ówczesnych warunkach galicyjskich”.

Wszystko to Peiper wywnioskował ze słynnych w brulionie komedii czterech słów Jowiałowskiego: „nad prawdę lepsze fałsz”. Nie wziął pod uwagę własnej wypowiedzi Fredry: „Ja tę postać żywym wziąłem z sędziwego staruszka Grzymały, którego z bliska znałem. Dobrodusny, pełen prostoty starowina, powtarzał przysłowia i bajeczki, jakie z lat młodości zapamiętał, a tu z niego robią jakiegoś bohatera...”. Zapomniał, czy chciał zapamiętać, że Jowiałowski traktuje swój zbiór przysłów i bajeczek jako wartość samą dla siebie, pisał się ch znawcą, nauwnie cieszył się, że „będzie wydrukowany”. W sprawach spornych popiera swoim materiałem przysłowiom i jedną z drugą stronę, jeżeli tylko przysłowie daje się zastosować; słusznie mówi Szambelanowa, że „jęgomości o nic w świecie nie idzie, tylko o sposobność umieszczenia swoich przysłówów”.

Ale może to tylko pozory, konsekwentna, hamletyczna maska pana Jowiałowskiego? Zobaczymy jaka jest ta prawda, którą docieklawy interpretator odczytuje z jego przysłów i dyktandek.

„Jego obraz życia ukazuje plamy fałszu, niesprawiedliwości międzyludzkiej i dziejowej, bezrozumia ustrojowego, okrucieństwa społecznego, i z takiego to obrazu życia wywodzi się wiele myśli starego obserwatora spraw ludzkich, myśli, których strzępy rozproszone są po całym utworze. Gdy mówi, że nie zawsze jest prawda, co się prawdziwym wydaje, czy nie wyraża się tym swą negacją wobec fałszów podawanych jako prawdę(?) w życiu prywatnym i publicznym? Gdy w czasie maskarady — czy kostiumiady, której bohaterem jest władca rządzący państwem, wypowiada uszczypliwość o nim, o jego ministrach i urzędnikach, czy nie wyraża swego sądu o rządach zaborców? Gdy opowiada dyktandem o „kapitałiście” handlującym kielbasą, czy nie wyraża swego poglądu na okrucieństwa społeczne? Gdy wyprowadza przysłowie, że „bierze szczęśliwy a nie zasłużony”, czy nie syntetyzuje w nim swego pesymizmu zrodzonego z rozmyślań nad losami jednostek i nad losami własnego kraju?”

Gdzie w bajeczce o uczniaku, który kupił kawałek kielbasy za „trzy basy”, a sprzedał za sześć — dostrzegaj Peiper pogląd Jowiałowskiego na okrucieństwa społeczne — nie wiadomo. Ale wiadomo, że z przysłów p. Jowiałowskiego można wyprowadzić jakie kto chce poglądy. Podejmuje się udowodnić, że:

- 1) Jowiałowski zalecał stosować się do fałszów podawanych za prawdę w życiu prywatnym i społecznym (wejdźcieś między wrony, krakaj jak i ony);
 - 2) zalecał politykę ugodową wobec zaborców, (ile kto ma cierpliwość, tyle ma mądrość), przestrzegał przed próbami powstania, (kto nie ma zbroje, młaj boj);
 - 3) uważał los każdego człowieka za zastużony i sprawiedliwy. (Jaka miarka mierzysz, taką odmierze. Jak ty czynisz tak dla ciebie czynić będzie. Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada);
 - 4) Aprobował egoizm jednostki (Pierwej Sobkowi, potem Dobkowi; Bliska kszolula niż suknia ciąlu).
- Ze stanowiska Peipera nie można mi zarzucić dowolności interpretacyjnych. Jego eksperymenty są jeszcze bardziej ryzykowne i naciągane.

Kiedy w czasie „ceremonii tureckiej” — Szambelan rzuca pod adresem „władzy”, okrzyk pochwalny, Jowiałowski mityguje go: „Nie pchaj rzeki, sama płynie”. Znaczy to po prostu, że nie trzeba tak pochlebiać szewczykowi, bo i tak uwierzy w swoją przemianę w sultana. Ale Peiper wywodzi: „Ową rzeką, która sama płynie, jest pochwalona propaganda okadzająca władców zaborczych, a Jowiałowski nie chce, żeby jego ludzie przyczyniali się do jej powodzenia; choć jej służą pływ po kraju, niech nie ułatwia im biegu jego dom. Myśli ta podaje Jowiałowski zaciemniająco, bo jest w niej smutek i śmiałość”. Takich wykrętasów interpretacyjnych nie powstydziłby się sam Kucharski!

Kiedy po raz pierwszy Ludomir wypowiada przysłowie: „Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr”, pan Jowiałowski mówi: — „na stronie jakby się obudził: Co to przysłowie? — Czy diabeł przemówił przez niego?”. Zwykły czytelnik widzi w tym zdziwienie p. Jowiałowskiego, że szewczyk potrafi także posługiwać się przysłowiami. Zdziwienie to zmienia się w podziw, kiedy Ludomir zaczy-

PRZEGLĄD PRASY

O MIESIĘCZNIKACH LITERACKICH

N IERAZ już białem na tych lamach, że tak ubodzy jesteśmy w literackie miesięczniki. Mówiono mi, że moje badania są niczym nie uzasadnione, bo na dobrą sprawę w Polsce możemy dziś wydawać właściwie tylko jeden miesięcznik literacki. Oczywiście taki, w którym wszystko byłoby pierwszorzędne — i stro- na artystyczna, i poziom ideologiczny, i krytyka, i proza, i poezja. Oczywiście, mój pocieszyciel miał rację, ale mu odpowiem, że rzeczy idealne bywają zawsze pojedyncze. Tymczasem mamy w Polsce dwa miesięczniki literackie, w których nie zawsze może wszystko jest pierwszorzędne (i to z rozmaitych punktów widzenia), ale które w pewnej mierze są trwałym zwierciadłem literackiego życia w Polsce. A więc najpierw „Twórczość”.

Numer 4 tego miesięcznika bardzo mnie zajął. Spodobał mi się wydrukowany na początku montaż z korespondencji, wspomnień i notatek współczesnych o ostatnich dniach życia Juliusza Słowackiego. Zainteresował mnie akt „Ocalenia Antygony” p. Krystyny Berwińskiej-Gogolewskiej, z prawdziwą rozkoszą czytałem fragment „Dziennika” Samuela Cypriana w mistrzowskim spolszczeniu Marii Dąbrowskiej. W dziale sprawozdań redakcja „Twórczości” zamieściła omówienia kilku ostatnio wydanych tomów esejów i krytyki literackiej. Wobec niepopular-

ności tego typu twórczości, której pisma tygodniowe poświęcają mniej uwagi niż innym zjawiskom życia literackiego, akcja „Twórczości” zasługuje na pochwałę. Co mi się nie podobało w tym numerze? Przede wszystkim wiersze Szewczyka. Ale na to nie mam żadnego dowodu. De gustibus...

Podobnie nie mam dowodu na to, że doskonale „Zeszyty wrocławskie”, których numer ostatni (4) przynosi mnóstwo ciekawych rzeczy, zwłaszcza w dziale sprawozdań i omówień, w dziedzinie poezji okazują zbyt daleko posuniętą tolerancję. Jest jakaś dziwna niewspółmierność między doskonałym i poważnym materiałem artykułowym (Gomolicki o przekładach rosyjskich Mickiewicza, Podhorski o dacie napisania „Dziadów” drezdeńskich, Rzesuska o „Celowości w noweli Prusa”, „Z legend dawnego Egiptu”, erudycyjny szkic o Wrocławiu w opisach humanistycznych pióra Iwanczaka), świetnym pomysłem drukowania fragmentu mądrej „Podróży Gulivera” i wyjątków z dykcjonarza woltańskiego Fr. Salezego Jezierskiego, a zamieszczonymi w tym numerze wierszami. Podobnie wrażenie czyni dział sprawozdań, gdzie obok recenzji z dzieł tak dojrzałych i pełnych jak dzieła ks. Prevost i Woltera, obok sprawozdań z książek Borowskiego, Dygata, Nalkowskiej, Rudnickiego, drukuje się wypowiedź Żukrowskie-

go o wierszach Jana Baranowicza czy też Pierzchały ocenę wierszy Sztaudyngera, utrzymaną w tonie i charakterze obalającym całkowicie naturalną i słuszną hierarchię literackiego smaku. I to nie dlatego, że są to wiersze wrocławskie, czy też, że Baranowicz pisze o kartoflach „O bulwy złote! Podgłębia brzoskwinie!”, co bardzo się podoba recenzentowi, który obrusza się na „kawiarnianych estetów”, którzy — jak przypuszcza — odrzucają a limine poezje Baranowicza. Dają słowo Wojciechowi Żukrowskiemu, że złe wiersze piszą nie tylko we Wrocławiu, ale i w Łodzi, i w Warszawie, i w Katowicach, i w Krakowie. Jeśli mi Żukrowski nie uwierzy i nie dał Boże pomyśli sobie, że jestem właśnie owym „kawiarnianym estetą”, to niech weźmie do ręki dwa numery „Twórczości” — ten w którym był poemat Neruda „Niech się zbudzi dwa!” i ten ostatni, gdzie są wiersze Szewczyka. Można również w tym samym celu porównawczym użyć poematu Miłosza („Toast” Odrodzenie) z jednej strony, zaś wiersza Stefana Flukowskiego („Zeszyty wrocławskie”) nr 4) z drugiej. Innych poetów polskich, poza Miłoszem, których wiersze wydają mi się być mądre i piękne, a więc stoją na czele owej hierarchii, którą tak lekkomyślnie burzy Wojciech Żukrowski, cytować nie śmiem, są to bowiem nazwiska przyjaciół...

ph

na nimi spać; wówczas odurzony Jowiałowski powiada do swej Małgosi: „To jakiś wielki człowiek!” — Dla Peipera to jednak nieistotne: „Młody przybysz huknął, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ta myśl dotyczy przeszłości. Czyżby młody przybysz głosił, że także przeszłość Polski należy przekreślać, że trzeba o niej zapomnieć, że nie należy brać jej w rachubę? Jest to tak dalece przeciwnie uczniom i myślom Jowiałowskiego, że stawia on samemu sobie i — skrycie niezwykłe w swej sile pytanie: „Czy diabeł przemówił przez niego?”

Zdaniem Peipera — w przysłowiu „kto źle rozkazuje, niedługo panuje” zamknął Jowiałowski swe poglądy na błędy rządzenia popełnione w Polsce niepodległej i na ich katastrofalne następstwa”. Idąc dalej po tej drodze, doszlibyśmy zapewne do wniosku, że poglądy epistemologiczne bohatera zawarte są w zdaniu „Poznać Pana po cholewach...”

Mówiąc serio: Peiper lekceważy zupełnie wewnętrzną motywację sztuki, wydziera poszczególne wypowiedzi z całego kontekstu i — prymitywnie nadaje aktualną treść polityczną — społeczną, ogólnikowym moralom wypowiedziadanym przez Jowiałowskiego często tylko dla samej satysfakcji z popisywania się swą wiedzą, zawsze — z inną niż chce krytyk, intencją. Peiper tworzy sobie własną koncepcję p. Jowiałowskiego, ale takiego p. Jowiałowskiego, o którym trzeba dopiero napisać sztukę, bo kreacja Fredry nie ma z nim nic wspólnego. Ten rodzaj krytyki jest oczywiście b. interesujący i płodny, ale staje się szkodliwy, gdy autor pretenduje do naukowej odkrywczości, do jedynie poprawnej interpretacji tekstu, gdy sugeruje swoje mitologiczne spekulacje teatrowi.

Ta mitologia dotyczy reszty i innych postaci autora. Pan Jowiałowski po recytacji bajki o motylach, które robią z konieczności — cnotę, mówi do swej żony, „No, no, nie gniewaj się, Małgosiu — ty jesteś motylkiem, ale moim motylkiem, moją przepióreczką”. Chodzi chyba o to, że „Józio” musiał kiedyś chwycić swoją „Małgosię”, jak ową przepióreczkę, co to uciekała w prosa.

Peiper rozumuje inaczej: „Przepióreczka? Chyba ta z piosenki, ta, której chłopak nie schwytał przed zapytaniem się matki czy wolno. Moralne orzeczenie matki; mogło być młodemu Jowiałowskiemu potrzebne ze względu na okoliczności szczególne. Młodość Mał-

gosi przypadała na czasy pierwszego rozbioru Polski, który w ciągu czterech lat przed jego dokonaniem się poprzedziły takie zdarzenia, jak wzięcie wojak carskich, akcja zbrojna konfederatów przeciwko nim, rozciągnięta aż po Kraków i Poznań, szukanie protektoratu politycznego, cudzoziemskich tronów, otrzymanie francuskiej pomocy w oficerach i usługach dyplomatycznych. W ówczesnym życiu Małgosi mogło być coś, co niepokoiło młodego Jowiałowskiego, coś z czym nie mógł się pogodzić, bo jeszcze — nie mógł tego zrozumieć. Wyłumaczyła mu to matka, która — za panowania Augusta II czy III — przesyłała przecie walki obcych władców toczonych na Ziemiach polskich, przemarsze obcych wojsk, różne polityczne konfederacje i antykonfederacje, różne orientacje i dezorientacje — i wiedziała, jak w takich czasach wygląda los kobiet. Pouczenie matki ukazało Jowiałowskiemu niewinność Małgosi. „Ileż by można tą metodą napisać o przyczynach powstania „Ślubów panienskich” przez Aniełę i Klare? Może obce wojska w ich oczach gwałciły kiedyś kobiety? Może ten głębszy uraz z czasów dziecinnych spowodował ich nienawiść do rodzaju męskiego?”

Po tym wszystkim nie budzi już chyba zdziwienia teza, że Ludomir ukazuje zarodki tego, co później będzie pozytywizmem, prapoztywizmem i postpozytywizmem. A życzliwość jaką mu okazuje starzec ma być przymierzem pokoleń zawartym w imię rozumu i liczenia się z rzeczywistością.”

„Co rzec na to? Wiem — nie powiem”, jak to mówił pan Jowiałowski. Ale komentarze doprawdy niepotrzebne.

Marek Wierczyński

Nowy zarząd łódzkiego oddziału ZLP

W dniu 20 kwietnia br. Walne Zebranie Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich dokonało wyboru nowego Zarządu. Zarząd ukonstytuował się w sposób następujący: — prezes — Stanisław Piętał, wiceprezes Władysław Rymkiewicz, sekretarz — Stanisław Bruc, skarbnik Mieczysław Szerer, pozostali członkowie Zarządu Leon Gomolicki, Zofia Petersowa i Jan Spiewak.

KORESPONDENCJA

W Nr 14 „Kuźnicy” ukazała się nota podpisana przez ph na temat „Życia Nauki”. W notatce tej nie była poruszona sprawa „wkładek bibliograficznych”, o których chciałabym powiedzieć parę słów. Wkładczy te, prenumerowane za osobną dopłatą, drukowane jednostronnie, graficznie są pomyślane tak, by móc je wycinać, naklejać na kartki biblioteczne i tworzyć katalog artykułów w czasopiśmie; oprócz tytułu i nazwiska autora oraz danych bibli., zawierają jeszcze krótką notatkę o treści artykułu (Nr 35/36 „Życia Nauki”). Redakcja „Życia Nauki” zwracała się do innych czasopism naukowych o poparcie jej inicjatywy. Dotychczas jednak nie spotkałem się w innych czasopiśmie z tak pomyślaną pomocą dla bibliotek i pracowników nauki.

Jako bibliotekarz i bibliograf gorąco popieram wprowadzenie „wkładek” (prenumerowanych za dodatkową opłatą). Takie opracowanie przyniosłoby dużą pomoc przy prowadzeniu prac bibliograficznych w bibliotekach, które mają zbyt mały personel naukowy, przełączony pracą, l. „Wkładczy” przetrwałyby pracą na personel techniczny (wycinanie, wago);

2. przyniosłoby oszczędność (akcja „O”) czasu, gdyż wycinanie i naklewanie trwa krócej niż wyszukiwanie artykułów i pisanie kartek katalogowych;

3. „zdingowałoby” biblioteki do wprowadzenia bibliografii dziedzin wiedzy najbardziej interesujących koła czytelniców, grupujących się koło danej placówki.

Inicjatywie redakcji „Życia Nauki” dał za chęć Państwowy Instytut Książki, Czy Szanowna Redakcja „Kuźnicy”, która już w sprawie „Życia Nauki” umieszczała wzmiankę, nie zechciałaby się w jakiś sposób podjąć zainteresowania — praktycznego, nie teoretycznego — innych redakcji czasopism naukowych sprawą „wkładek bibliograficznych”? Może w formie dyskusji na łamach swego piśma, którą czytają chyba wszyscy naukowcy i praktycy-bibliotekarze (bibliografowie)?

Helena Handelsmanówna

KSIĄŻKI NADESŁANE

- Iwan Turgieniew: Opowiadania. Tłum. L. Podhorski-Okolów. Biblioteka Romanów i Powieści Nr 29. Nakł. Sp. Wyd. „Oświat”. „Czytelnik”, W-wa 1949, str. 63, zł. 50.—
- Jan Brzechwa: Kaczkę dziwaczka. Rysunki Franciszki Themerson. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1949.
- Mieczysław Jastrun: Mickiewicz. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1949, str. 415 + 24 ilustracje.
- T. Leontiewa: Przyszłość należy do nich. Powieść. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1949, str. 236.
- Pola Gólawczyńska: Powszedni dzień. Wyd. III. Nakł. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, 1949, str. 174.
- Henryk Sienkiewicz: Krzyżacy. Wyd. nowe ilustrowane. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1949, tom I — str. 476, tom II — str. 560.
- Jack London: John Barleycorn. Powieść. Nakł. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, 1949, str. 225.
- Daphne du Maurier: General Jego Królewskiej Mości. Tłum. M. Józefa Szercha. Nakł. Księgarni Zdzisława Gustowskiego, Poznań 1949, str. 364.

MIECZYŚLAW JASTRUN

MICKIEWICZ

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

1949

Str. 410 Cena zł 700.—

Głos Ameryki

24 kwietnia odczytano z ambon kościołów rzymsko-katolickich w Polsce manifest polityczny w formie listu pasterskiego biskupów. Dodajmy, że nie wszędzie odczytano go jednako. W wielu księżych opuściło najbardziej drastyczne w swej antypaństwowej pasji zdania. Inni czytając odośnie ustępy, zakłopotani ściszyli głos, jakby im wstyd było, że oto zmuszono ich do opublikowania tego — głęboko nieuczciwego, pełnego fałszów i pełnego fałszu — dokumentu, w dodatku podpisanego m. in. przez trzech bohaterów kolaboracji, biskupów Lorka, Kaczmarczyka i Adamskiego.

Tzw. list pasterski wzywa bowiem wierzący odłam społeczeństwa polskiego do czynnej, otwartej walki politycznej z obozem postępowym, z rządem, z demokratycznym ustrojem nowej Polski — wzywa do walki z milionami Polaków, którzy pod przewodem obozu demokratycznego tę nową Polskę budują.



Księża biskupi, jak każdy świadomy nie-słuszności swojej sprawy, chwycili się w swym elaboracie wypróbowanej metody kłamstwa. Bo kłamstwem są przecież zawarte w liście pasterskim aluzje, że w Polsce ogranicza się wolność kultu religijnego, że kościół jest sztykanowany, że wierzący nie mają możliwości swobodnego odbywania praktyk religijnych, a księża możliwość spełniania swych obowiązków kapłańskich. Że to jest kłamstwo (bo jakże inaczej nazwać takie twierdzenia?) — o tym wie w Polsce każdy, nie wyłączając samych autorów tej antypaństwowej odezwy. Ale wiedzą o tym również ich zagraniczną mocodawcy, ci, których celem politycznym ma służyć list episkopatu. Ci, w których interesie leżałoby rozpętanie w Polsce walki wewnętrznej między wierzącymi a niewierzącymi, do czego zupełnie wyraźnie zmierzają omawiany dokument.

Księża biskupi chwytają się kłamstwa po to, żeby dać zagranicznym wrogom Polski okazję do rozpętania przeciw naszemu krajowi oszczerczej kampanii, żeby zaszkodzić naszym interesom narodowym na arenie międzynarodowej. Oto jest świadomie zamierzony cel „listu pasterskiego”. W polskich słowach i zwrotach tego listu brzmi antypolski Głos Ameryki, nadawany z Nowego Jorku przez Spellmana i przez watykańskie wzmocnienie transmitowany do mózgow hierarchii kościelnej w Polsce. rdc

Brednie „Przekroju” o Januszu Korczaku

W ostatnim numerze „Przekroju” znajdujemy artykuł niejakiego Kazimierza Dębnickiego pt. „Krwawe dni” poświęcony rocznicy powstania w warszawskim getcie. Niewiadomo dlaczego dwie trzecie tego artykułu wypełnione są irytującymi głupstwami na temat nieskazitelnej i tragicznej postaci Janusza Korczaka, którego śmierć w czasie poprzedzającej powstanie akcji eksterminacyjnej usiłuje autor w karkołomny sposób zinterpretować jako „zrezygnowaną” i „niepotrzebną” jako wynik „załamania się” i niewiary w zwycięstwo.

...w śmierci Korczaka — pisze Dębnicki — prowadzącego za sobą dzieci ze stworzonego przez siebie „Domu sierot”, opowiadającego im bajki, aż do ostatniej chwili — jest coś niezrozumiałego, przeciwko czemu buntuje się nasz rozum. Pozornie sprawa wydaje się jasna: poszedł z dziećmi, chociaż miał możliwość pozostania, ukrycia się, podjęcia walki. Poszedł — bo tak rozumiał swój obowiązek wychowawczy. Opowiadał bajki, by narkotyzować dzieci przed bólem ostatniej, śmiertelnej chwili”.

I dalej: „Janusz Korczak, człowiek wielkiej energii, świetny organizator, psycholog, wychowawca i wreszcie wyższy oficer Wojska Polskiego — miał możliwość prowadzenia walki z okupantem, mógł dożyć do powstania w ghetcie, mógł, jeżeli już miał ginąć, zginąć na barykadzie.

Jeżeli ten, niewątpliwie postępowy człowiek, wybrał śmierć zrezygnowaną — to dlatego, że chciał śmierci, że się zaimała, że nie widział przed sobą przyszłości. Nie wierzył w zwycięstwo nad faszyzmem”.

Po tych stwierdzeniach następuje krytyka metod wychowawczych Korczaka, będąca w swich tezach uproszczoną wersją tych uwag krytycznych, jakie na temat systemu pedagogicznego wielkiego idealisty sformułowała swego czasu Irena Chmieleńska w swym wspomnianiu o Korczaku na łamach „Kuznicy”. O ile jednak wspomnienie Chmieleńskiej nacechowane było wielkim taktem i rzeczowością, oraz szacunkiem wobec heroizmu śmierci Korczaka, o tyle autor z „Przekroju” pozwala sobie po przeprowadzeniu tej krytyki na niczym nieuzasadnione twierdzenie, że Korczak, który „nie rozumiał istoty faszyzmu” — „załamanej się, utracił wiarę w przyszłość, w zwycięstwo”.

„Dlatego nie ratował dzieci i siebie. Nie wierzył bowiem w możliwość ratunku. Świat jest zły, ludzie są źli i głupi. A zatem nie ma ani szansy utrzymania życia, ani szansy zwycięskiej walki...”

„Cóż mu więc pozostało jak ginąć razem z dziećmi, jak opowiadać usypiające czujność i świadomość wychowanków, piękne bajki? Cóż mu pozostało, jak nie znieuczulanie umysłów baśniami w obliczu wyszczerzonych łuf pistoletów maszynowych?”

I rzeczywiście — pytamy z kolei my — coż nam pozostaje wobec tych niesamowitych bredni, które wypisuje pan Dębnicki, a drukuje „Przekrój”. Jak wytłumaczyć panu Dębnickiemu, że:

1) jednocześnie z Korczakiem w lipcu 1942 roku wywiezionych zostało z ghetta warszawskiego podstępnie, bez możliwości przewidzenia tego faktu i organizacji jakiegokolwiek ratunku czy obrony 400.000 ludzi, a o organizacji powstania przez pozostałą przy życiu resztę nikomu się jeszcze nie śniło.

2) że Janusz Korczak „człowiek wielkiej energii, świetny organizator, psycholog, wreszcie wyższy oficer Wojska Polskiego” miał w chwili śmierci lat 70 i że ta jego dobrowolna heroiczna śmierć wraz z dziećmi, których w żaden sposób nie można było wtedy uratować, miała co najmniej takie same, jeśli nie większe znaczenie moralne niż śmierć na barykadzie.

Zrozumiał jest z marksistowskiego punktu widzenia krytycyzm w stosunku do niektórych metod wychowawczych Korczaka. Dlatego sami drukowaliśmy w „Kuznicy” nacechowane nim wspomnienia Ireny Chmieleńskiej. Usiłowanie jednak pomniejszenia i wymowy faktów takich, jak śmierć Korczaka przez naiwne i naciągane, nie liczące się z historycznymi faktami pretensje do zmarłego uznać należy za wybitnie niesmaczne, i ideologicznie szkodliwe. Dziwić się należy redakcji „Przekroju”, że wydrukiwała artykuł tak głęboko nieprzemysłany i w rezultacie niemoralny w swej tendencji pomniejszenia prawdziwej, ludzkiej wielkości. rdc

Filologia k'asyzna w ZSSR

„Zbratanie się historii i filologii winno wzbogacić nie tylko naszą wiedzę historyczną, ale i podnieść filologię na poziom nauki studiującej i badającej prawa rozwoju kultury ludzkiej od jej najbardziej pierwotnych zarodków, dających się wykryć w języku, aż do najwyższego etapu kultury — społeczeństwa komunistycznego”.

Takie zdanie czytamy w Nr 2 z r. 1947 „Więsnika d'riewniej istorii”. Jest ono formułą programową odrodzonych w Związku Radzieckim badań nad światem starożytnym, o czym wyczerpująco informuje nas artykuł redakcyjny w numerze 1—2 z b. r. nader pożytecznego warszawskiego miesięcznika „Meadner”, poświęconego właśnie kulturze świata starożytnego. Znane jest zdanie Marksa, że bez podstaw założonych przez Grecję i Rzym nie byłoby Europy współczesnej, nie byłoby także i współczesnego socjalizmu, że rodzaje literackie, zagadnienia poetyki i problemy realizmu artystycznego powstały po raz pierwszy w literaturze greckiej.

Już w r. 1932 otwarto w Moskwie i w Leningradzie Instytuty Filologii, Lingwistyki i Literatury, które po pewnym czasie połączyły się z uniwersytetami w obu wymienionych miastach. Niezadługo sekcje klasyczne otworzyły na uniwersytetach w Tbilisi (Tyflis), Charkowie i Tomsku. Specjalny dekret rządowy z dnia 4.2.1944 r. zajął się unormowaniem uniwersyteckiego studium filologii klasycznej, a specjalnie powołana komisja przyjęła na siebie sprawę ułożenia programów i oceny podręczników. Kształcenie nowych kadr nauczycielskich dało już niewątpliwe wyniki, gdyż ostatnio wprowadzono naukę języka łacińskiego do szkół średnich na stopniu licealnym.

Ścisłe naukowe badania nad światem starożytnym, ze szczególnym upodobaniem zajmujące się wykrywaniem śladów kultury antycznej w historii wszystkich ludów na olbrzymich polach Związku Radzieckiego, są obficie publikowane w „Izwiestjach Akademii Nauk SSSR” („Otdiel historii i filologii”, „Otdiel literatury i jazyka”) oraz w przytoczonym już w „Więsniku d'riewniej istorii”. To drugie czasopismo publikuje ponadto w specjalnych dodatkach skomentowane przekłady dzieł pisarzy starożytnych. Ostatnie lata przyniosły między innymi przekłady z Apollodora, obu Pliniusów, Plutarcha i Strabona. Akademia Nauk wydała ze swej strony zbiorowo opracowaną „Historię Literatury Greckiej” (r. 1946) oraz (łącznie z tekstem łacińskim) przekład słynnego poematu Lukrecjusza „De rerum natura”, poematu skierowanego — jak wiadomo — przeciwko wielu jeszcze dziś aktualnym za-

bobomom. Bardzo pożyteczne byłoby ukazanie się takiego przekładu i u nas. Wreszcie grupa studentów filologii klasycznej na uniwersytecie moskiewskim pracuje nad przekładem kroniki Jana Długosza, o czym u nas nikt nie zdecydował się pomyśleć.

„Z postulatów naszej nauki — głosi cytowany na początku „Więsnik d'riewniej istorii” — wynikają wielkie zadania w dziedzinie naukowego zbadania problemów historii języka i literatury, mających wielkie znaczenie nie tylko dla zbudowania prawidłowej materialistycznej teorii pochodzenia języka i praw jego rozwoju w konkretnych warunkach materialnych, lecz i dla dalszego marksistowsko-leninowskiego rozpracowania teorii literatury, szczególnie antycznej, stanowiącej jeden z największych skarbow kultury ludzkiej”.

Zmarłwieniu brytyjskiego parlamentu

W marcu Parlament angielski obradował nad tzw. „prywatnymi ustawami posłów”. Najdłuższą i najbardziej gwałtowną dyskusję wywołał projekt ustawy, zabraniającej konnego zajeżdżania lisów. Projektodawca w czasie dyskusji cierpliwie tłumaczył swym konserwatywnym oponentom, że polowanie na lisa przez zamęczenie go jest antyhumanitarne; że psy biorące udział w nagonce z reguły rozszarpują żywego jeszcze lisa w kawałki. Odwoływał się do rzekomej angielskiej tradycji miłości; do zwierząt.



W odpowiedzi zagorzali zwolennicy myśliwskiej tradycji wytoczyli argumenty bardzo ważkiej natury ekonomicznej: „lisy czynią wielkie szkody farmerom i dlatego trzeba je tępić”; natury naukowej: „lisy zjadają płatki, na których ornitologowie mogliby przeprowadzać doświadczenia”; estetycznej: „lisy są brzydkie” itd., itd.

Jednakże po kilkunastu debatach okazało się, że licza zamęczanych rybaków. Oczywiście lisy jest stosunkowo niewielkie, a farmerzy i tak są zmuszeni strzelać lisy na własną rękę. Co więcej farmerzy stwierdzili, że w czasie „biegów” za lisem ponoszą duże straty w postaci stratawanych zasiewów, polanowych ogrodzeń itp.

Zniecierpliwieni przeciągającą się dyskusją „sportowcy” zagrali wreszcie niezawodne a tury natury polityczno-patriotycznej: „Ustawa godzi w wolność osobistą obywatela. Tradycja narobowa każe nam właśnie zamęczać lisy z konia. Nie pozwolimy ograniczać naszych swobód osobistych”.

W toku debaty jeden z najbardziej zagorzalszych przeciwników projektu ustawy, książę Beaufort stanowczo oświadczył: „Gdyby ustawa ta weszła w życie, gdyby zniknęły z zielonych pól barwne fracki jeźdźców, gdyby zamikły trąbki i ujadanie dopadających psów... byłoby to największy z ciosów, jakich kiedykolwiek doznała nasza ojczyzna!”.

Na szczęście i tym razem oberzło się bez kataklizmu. Parlament odrzucił projekt ustawy. Szlachetnie urodzone panie i panowie w tradycyjnych kostiumach będą dalej ścigać po zielonych polach lisów, wzbudzając co najwyżej uciechę robotników na fermach. arb

Poezja na wygnaniu

Wydawcy utwierdzili się w przekonaniu, że utwory poetyckie są złym koniecznym wszelkich księgarskich witrzyn i że dobrze czynią usuwając je sprzed oczu ewentualnych amatorów poezji. Jeszcze gorzej jest, gdy sami wydawcy nie raczą posiadać ich nawet w swoich składach, stoiskach i sklepach dając pierwszeństwo np. popularnej o niewielkiej wartości społecznej beletryście. W tym wypadku należy się poważnie zastanowić, o ile wydawcy decydujący właśnie w ten sposób o sprawach podaża, mogą urabiać gusty czytelników. Bo jeśli urabiają, to wylania się prosty wniosek: nie możemy przy obecnych stosunkach księgarskich liczyć na zmniejszenie wzrastającego niemal z każdym rokiem dystansu pomiędzy twórczością poetycką a rzeszą czytelniczą.

Jako krzywdzący przykład takiego stanu rzeczy niechaj posłuży fakt, że na Targach Poznańskich, które obok ich zasadniczych celów, a mianowicie pełnej manifestacji pokojowej, widocznej w przedstawionych eks-

ponatach przemysłowych, winny być także pokazem twórczości kulturalnej, zabrakło utworów poetyckich, nie tylko w witrzynach, lecz również na półkach stoisk księgarskich. Wszystkie spółdzielnie wydawnicze pominięły prawie całkowicie wydawnictwa dawniejszej i współczesnej poezji. A przecież Targi Poznańskie to nie tylko wystawa osiągnięć gospodarczych, lecz także festyn, teatry, widowiska. Nie tracmy nadziei, że taki bieg rzeczy krzywdzący dla czytelników i sprawy kultury ulegnie zmianie. Jem.



O reedycję pism Żmichowskiej

Krakowski „Dziennik Literacki”, prowadzący na swej ostatniej stronie nader sumienną „Encyklopedię podręczną” na temat poezji i realii literatury, w artykule o Narcyzie Żmichowskiej (Gabryelli) przypomniał niedawno, że po wojnie nie został znówiony żaden utwór tej pisarki. Pamiętamy, że i przed wojną poszczególne książki Żmichowskiej — oprócz opracowanego przez Boya, a wydane przez Dom Książki Polskiej utworu „Czy to powieść?” — nie należały w handlu księgarskim do zjawisk zbyt częstych, a zbiorowe wydanie pism Gabryelli chyba w ogóle nie istniało.

Tak chwalenie rozwijający się po wojnie ruch wydawniczy w Polsce powinien stanowczo objąć dzieła najznakomitszej „entuzjastki”, która — zachowajmy pełną wyrozumiałość dla upodobań stylizacyjnych epoki — już w r. 1846 na łamach „Przeglądu Naukowego”, drukującego podówczas jej „Pogankę”, potrafiła wypowiedzieć chociażby takie zdanie: „Nam trzeba cnot siły, cnot triumfu, cnot szczęścia, żeby inni w nas wierzyli i tak jak my cnotliwymi stali się. O! bo głównie o innych chodzi. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba nie wpuści do królestwa niebieskiego; to samolubne zwanie postów i umartwień, długich pacieryz i klasnego życia nie jest zbawieniem godziny dzisiejszej”.



Należałoby wznowić przynajmniej „Pogankę”, „Białą różę” i „Czy to powieść?”. Byłoby nie od rzeczy gdyby ta sprawa zajęła się Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, tak konsekwentnie wznowiająca cenne zresztą ciekawostki powieściowe Teodora Tomaszka Jeża. „Poganka” stanowiłaby również ozdobę świetnie zapowiadającego się cyklu powieści popularnych, wydawanych przez Komitet Upowszechnienia Książki. ads

Zastugi wydawców

Dzieła naszej literatury narodowej ubiegłego stulecia tak są skąpo wydawane, że każde wznowienie, choćby nie było to nawet arcydzieło literatury pięknej, budzi zawsze radość. Niedawno pisałem o wydaniu listów Lelewela, dziś notuję starannie i pieczołowicie wydane przez „Prasę Wojskową” w jednym tomie dwie prace wybitnych radykałów Wielkiej Emigracji: Karola Bogumira Stolzmana oraz Henryka Kamińskiego (Karol Bogumir Stolzmann: „Partyzantka”, Henryk Kamiński: „Wojna Ludowa”). Książkę zdobi fotograficzna podobizna okładek oryginalnych wydań emigracyjnych obu prac. Warto tu przypomnieć, że do tej chwili nie posiadamy nie tylko nowych, ale nawet i dawniejszych przedruków niezmiernie bogatej i ciekawej literatury emigracyjnej. Udostępnienie rozmaitych wypowiedzi, zwłaszcza działaczy i polityków odłamu demokratycznego Wielkiej Emigracji rzuciłoby nowe światło na dzieje naszej kultury w owym okresie i odsłoniłoby dawną radykalną tradycję inteligencji polskiej. Książka wydana przez „Prasę Wojskową”, choć zawiera prace dość specjalne, jest cennym wkładem nie tylko do historii wojskowości polskiej, ale i do historii kultury polskiej.

Klasyków polskich w tym tygodniu reprezentuje tylko jedna książka, wydana przez „Czytelnika”: „Saskie ostałki” Kraszewskiego. Z pisarzy obcych należy wymienić Multatulię, którego „Maxa Havelaara” wydał również „Czytelnik” (zeszyt „Biblioteki Romanów i Powieści”).

Najradsze są dziś może wydawnictwa przekładów z literatury starożytnych. Toteż nielada zasługą „Książnicy Atlas” jest wydanie „Dialogów wybranych” Lukjana z Samosatry.

Niezmiernie cenną pozycją jest tom Puszkina wydany przez „Książkę i Wiedzę”, a obejmujący prozę artystyczną wielkiego poety. Większość utworów przełożył bardzo sumiennie i starannie, wykazując wiele kunsztu, tłumacz utworów dramatycznych Puszkina, Seweryn Pollak, „Córka kapłana” spolszczył Stanisław Strumph-Wojtkiewicz. ph.

Redaguje: Zespół „Kuznicy” Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96 - Telefon 264-75
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalcie 50 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.-; kwartalnie zł 240.-; półrocznie zł 480.-; rocznie zł 960.-
Należność za prenumeratę należy wpłacać do PRO konto VII-567 „Prenumerata Kuznicy”
Drukarnia Nr 4 Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik” - Łódź, Zwirki 1 D-036151